

# Prolog

*Nie ma nic bardziej niebezpiecznego od wspomnień.*

*Oficer Leonard Thorn nie był typem człowieka, który znajdowałby upodobanie w trywializmach i filozoficznych bredniach, a jednak to zdanie, choć niewątpliwie przez wielu zostałoby zakwalifikowane do takich kategorii, stanowiło dla niego nie tylko prawdę, ale i wyznacznik działań. Był świetnym detektywem, jednym z lepszych w swoim wydziale, co też przyczyniło się do jego rychłego awansu. Nie zawdzięczał tego ani szczególnej inteligencji, ani niebywalej spostrzegawczości – chciałby, jak niektórzy, uważać siebie za analitycznego geniusza, ale rzeczywistość, jak zwykle, nie była tak ekscytująca. Nie posiadał żadnych zdolności, które wyróżniałyby go na tle szeroko pojętych „innych”. Po prostu myślał inaczej niż oni.*

*Gdy przechodził obok kałuży krwi i splamionych nią narzędzi zbrodni, gdy ze zmęczeniem obserwował wylewające się z ofiar wnętrzości oraz ich wykrzywione strachem twarze, myślał nie o tym, jaki ciąg zdarzeń doprowadził do tego właśnie momentu, ale jaki szereg wspomnień sprawił, że sprawca zdecydował się na taki krok. To było niczym portret w formie mozaiki – liczne fragmenty składały się na względnie spójną całość, ukazując oblicze mordercy, jego motywów i zamiary. Nie wszyscy pojmowali ten sposób działania, bo i nie wszyscy mogli go pojąć. Ci, którzy kręcili głową z niedowierzaniem i dziwili się „jak to możliwe”, nie mieli szansy zrozumieć.*

*Wspomnienia tworzyły nie tylko sentymenty i obsesje – obie siły wystarczająco mocne, by skłonić do zaciśnięcia palców na gardle ofiary, do naciśnięcia spustu czy zadania śmiertelnego ciosu. Wspomnienia stanowiły budulec charakterów, motywów i zachowań. Nie było niczego przypadkowego, ani w zbrodni dokonanej w afekcie, ani w zaplanowanym z zimną krwią morderstwie. Dobór miejsca, dobór metody, sposób działania, pozostawione ślady, popełnione błędy... Echa przeszłości, która powracała w nowej formie, odsłaniając przed Thornem więcej niż setki przesłuchań i godzin analizowania każdego, najdrobniejszego szczegółu.*

*Ludzi tworzyły ich wspomnienia. Thorn rozumiał to tak dobrze, ponieważ, jak mało kto, miał świadomość, jak bardzo zmieniły go jego własne. Jako mężczyzna*

*uwikłany w najbrudniejsze zbrodnie Metrolitu, widział i pamiętał wiele, ale przeszłość, która go stworzyła, sięgała znacznie dalej.*

*Nie kojarzył wiele ze swych nastoletnich czasów. Był zwykłym dzieciakiem – wymykał się z domu, by wraz z kumplami szlajać się po rozświetlonych neonami ulicach Metrolitu, wkradał się do klubów, palił za szkołą i fantazjował o dziewczynach, których nie miał szans zdobyć. Nie pamiętał, o czym wtedy myślał, do czego zmierzał, ani o czym marzył – może za wyjątkiem cycków Andrei Larson i uwolnienia się od nadmiernie troskliwej matki.*

*Wspomnienia stawały się bardziej wyraziste, gdy pojawiał się w nich on – Angel Michels. Kiedy Leonard zobaczył go po raz pierwszy, chłopak miał niespełna osiemnaście lat, rozwiane, półdługie, jasne włosy i zamyślane, niebieskie oczy. Był drobny – wysoki, ale szczupły i delikatny w swej budowie, miał jasną karnację, małe, smukłe dłonie, zgrabny, niewielki nos i blade usta. Był przystojny, choć nie w typowo męski sposób, w typowo żeński też zresztą nie. Leonard pamiętał, że pomyślał wtedy, iż nigdy w życiu nie widział kogoś, do kogo mógłby porównać tego chłopaka. Być może już wówczas zaczęła w nim kiełkować ta niefortunna fascynacja.*

*Jakby nie było, znajomi Leonarda nie wydawali się dostrzegać specyficzności Angela, która jemu od razu rzucała się w oczy. Owszem, był zauważany, w końcu dołączył do nich późno, więc naturalnym było, że wiele osób chciało wykazać się serdecznością i zaprosić go do swojego grona, ale Angel zawsze trzymał się na uboczu. Nie był nieśmiały. Nie zdawał się mieć żadnych problemów z nawiązywaniem znajomości, nie krępował się, odpowiadał, gdy go o coś pytano, a czynił to zawsze z uśmiechem i dozą uroku osobistego, która zapewniła mu wzmożone zainteresowanie dziewcząt.*

*Mimo to Angel był doskonały w tworzeniu wokół siebie dystansu, co interesowało Leonarda. Chłopak nigdy nie zgadzał się na wspólne wyjścia, niezależnie od tego, czy chodziło o randkę, czy klasową imprezę, nie dołączał do żadnej grupki, nie zaznajamiał się blisko z kimkolwiek i nie wydawało mu się tego brakować.*

*Leonard lubił go obserwować – przyłapał się któregoś dnia na tej abstrakcyjnej myśli, ale nie był w stanie nic na nią poradzić, więc po prostu to zaakceptował. Angel naprawdę był specyficzny. Dużo czytał i niewiele rozmawiał. Nie unikał ludzi, ale*

*Leonard szybko dostrzegł, że za jego niezmaconym spokojem i uprzejmością, czaił się jakiś rodzaj rozdrażnienia. Miał zjawiskowe oczy. Gdy pogrązał się w myślach, stawały się mgliste. Piękne.*

*Nie trwało długo, nim ciekawość wzięła w Leonardzie górę i zaczął rozmawiać z Angelem. Uczył się jego zachowań i reakcji, wyczuwał, kiedy nie należało naruszać jego przestrzeni i kiedy to było w porządku. Odnajdował się w kontaktach z nim. Zaczęło się od krótkich rozmów – zaczepiał chłopaka na przerwach czy w drodze do szkoły, zamieniali parę zdań i każdy z nich szedł w swoją stronę, ale wkrótce przerodziło się to w coś innego. Często wracał z Angelem do domu, niejednokrotnie odprowadzając chłopaka pod drzwi (choć wcale nie było mu po drodze). W niektóre wieczory Angel zapraszał go do siebie. Nie robił z nim tego, co z innymi znajomymi. Nie pamiętał, by kiedykolwiek poszli razem na jakąś imprezę, by wspólnie pili czy zachowywali się stosownie do ich wieku. Zwykle po prostu rozmawiali.*

*Angel był wyjątkowy. Leonard nigdy nie traktował go jako kolegi, nawet wtedy, gdy bardzo się do siebie zbliżyli. Zawsze był kimś innym. Kimś więcej. Przez długi czas Leonard wmawiał sobie, że łaknie jego towarzystwa, bo, jak wielu przed nim, chce sprawić, by Angel otworzył się na ludzi. W pewnym momencie dotarło do niego jednak, że znacznie bardziej od mieszkania Angela w sprawy swoich znajomych, cenił momenty, gdy przebywał z nim na osobności. To było dziwne uczucie – nieoczekiwane i niecodzienne, Leonard nie potrafił go ani nazwać, ani zinterpretować, bo nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego. Może gdyby Angel był dziewczyną, sprawa byłaby oczywista od samego początku, ale nie był nią, więc stała się taka dopiero pewnego, zimowego wieczoru.*

*Gdy zatrzymali się pod domem Angela, chłopak chwycił go za rękę. Leonard poczuł dreszcze. Często czuł je w jego obecności – gdy Angel mówił, gdy się uśmiechał, gdy jego mgliste spojrzenie stawało się na moment jasne i klarowne – nigdy jednak tak intensywne, jak w tej właśnie chwili. Zaraz po tym, Angel podniósł się na palcach i go pocałował. To było elektryzujące doznanie. Leonard nie spodziewał się takiego gestu i zupełnie nie wiedział, jak go przyjąć. Gdy Angel się od niego odsunął, on cały się trząsnął i to wcale nie z zimna. Dziwne, nie był nieśmiały, jednak w tamtym momencie krępował*

*się jak nigdy wcześniej. Angel nie krępował się wcale. Uśmiechał się, a jego zamglone oczy były tak spokojne jak zawsze.*

*Leonard potrzebował paru dni, by przejść do porządku dziennego nad tym, że był zakochany w innym chłopaku – po tamtym pocałunku i własnych reakcjach, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, właściwie aż nie potrafił uwierzyć, że nie dostrzegł tego wcześniej. Dla wielu młodych mężczyzn, którzy dotąd oglądali się za dziewczynami, byłaby to wstrząsająca, a może i traumatyzująca wiadomość, ale Leonard szybko uświadomił sobie, że nigdy nie interesowało go zdanie innych ludzi, więc nie miał powodu, by zamykać się w jakichkolwiek fikcyjnych przegródkach.*

*Chciał Angela, a Angel chciał jego, zatem nic nie stało im na przeszkodzie. Mieli swoją pierwszą noc, a później dziesiątki kolejnych. Leonard uwielbiał sposób, w jaki chłopak wymawiał jego imię. „Leo” – tak mówił do niego na co dzień, ale gdy byli ze sobą blisko, szeptał to w wyjątkowy sposób, zachłanny i przepelniony pożądaniem. Tym właśnie głosem wielokrotnie prosił kochanka, by ten obchodził się z nim mocniej. Leonard nigdy tego nie robił. Teraz, po latach, był w stanie zinterpretować jego spojrzenia i gesty jako oznaki znudzenia, ale wtedy nie potrafił się zmusić, by traktować delikatne ciało Angela inaczej.*

*Angel był jego światem. Mawiają, że pierwsze miłości są najtrudniejsze – obsesyjne, niezapomniane i odbierające zdrowy rozsądek. Jego relacja z Angelem pasowała do tego opisu. Leonarda nie obchodziło nic poza nim. Inni ludzie, szkoła, uczelnia, praca, wszystko to było nieistotne. Przyszłość mogła nadejść, a mogło nie być jej wcale, żadna różnica. I wkrótce Angel powiedział mu coś, co wskazywało na to, że przyszłość, rzeczywiście, mogła nie być dla nich.*

*Powiedział, że chce umrzeć. Podobne słowa pewnie zaszokowałyby wielu, gdyby usłyszeli je z ust swoich partnerów, ale Leonarda wprawiły jedynie w stan niepokoju. Angel, w trakcie ich związku, mówił tak wiele dziwnych i niezrozumiałych rzeczy, że podobna deklaracja nie mogła go zaskoczyć. Próbował zrozumieć dlaczego, ale meandry umysłu Angela pozostawały dla niego labiryntem bez wyjścia. Próbował więc odwieść go od tych zamiarów, ale wiedział, aż za dobrze, że gdy Angel czegoś chciał, nie było siły, która mogłaby go powstrzymać.*

*Od tamtego momentu Leonard nie zaznał ani chwili spokoju. Za każdym razem, gdy wieczorem rozstawał się z chłopakiem, czuł panikę tak przejmującą, że ta nie pozwalała mu spać. Za każdym razem, gdy kolejnego ranka Angel pojawiał się w szkole, ogarniało go uczucie ulgi, szybko zastępowane jednak kolejną falą lęku. Pewnego dnia nie wytrzymał. Usiadł z Angelem i na skraju łez wyznał mu swoje uczucia. Nie żeby te nie były oczywiste, ale nigdy nie mówili o tym głośno, więc jakimś cudem uznał, że może to coś zmienić. Zmieniło, choć inaczej niż przypuszczał.*

*Angel uśmiechnął się i pogłaskał go po twarzy, po czym oznajmił z całkowitym spokojem:*

*– Przecież możemy umrzeć razem.*

*Leonard odpowiedział, że to szaleństwo, bo taka odpowiedź wydawała się naturalna i rozsądna. Im więcej jednak się nad tym zastanawiał, tym bardziej zaczynało do niego docierać, iż nie powstrzyma Angela w jego planach. Wtedy zaś stracił go na zawsze, a nie istniało nic, czego obawiałby się bardziej. Czemu więc nie miałby wziąć udziału w tym „szaleństwie”?*

*Rozmawiali o tym. Tak jak normalni ludzie, normalne pary, dyskutowały w trakcie wspólnych posiłków o planach na kolejne popołudnie, oni mówili o śmierci. Spokojnie i bez emocji, jakie powinien budzić taki temat. Angel często powtarzał, że nie chce tutaj żyć i woli znaleźć się w „lepszym miejscu”. Leonard nie miał pojęcia, że chłopak wierzył w podobne rzeczy. Sam zdecydowanie nie był typem człowieka wierzącego w cokolwiek, czego nie zobaczył na własne oczy, ale sytuacja była dla niego oczywista. Jeśli istniały zaświaty, zamierzał znaleźć się w nich wraz z Angelem. Jeśli nie, na pewno nie zamierzał zostać tutaj bez niego.*

*Decyzja zapadła trzynastego stycznia i nie było od niej odwrotu. Do tej pory nie rozumiał, dlaczego zdecydowali się to zrobić w szkole. W nocy udali się na salę gimnastyczną. Angel wyciągnął tabletki.*

*Leonard położył się, zgodnie z zaleceniem chłopaka, i wtedy połknął podany mu środek. Moment później Angel znalazł się obok niego. Złapał go za rękę. Najpierw Leonard poczuł dziwną lekkość w swoim ciele, jak gdyby zaczynał tracić nad nim kontrolę. Później uświadomił sobie, że nie jest w stanie rozmawiać, nie dlatego, że belkotał czy miał problem z otworzeniem ust – jego mózg zdawał się przestać rozumieć*

koncept mowy. Nie miał już nad sobą żadnej władzy, ale wciąż był świadomy – wiedział, że leży obok Angela i wiedział, że umiera. Patrzył w błękitne oczy chłopaka, a te zdawały mu się bardziej klarowne niż kiedykolwiek wcześniej.

Wreszcie jego mięśnie zaczęły się rozluźniać. Poczł, że puszcza dłoń Angela. Nie miał pojęcia, czy był wtedy tak cholernie sentymentalny, czy to chemia przejmowała jego umysł, ale napadła go paniczna myśl, że jeśli nie będzie trzymał go za rękę, nie odnajdą się po drugiej stronie. Później nie było już nic.

Obudził się pośród oślepiającej światłości, ale szybko dotarło do niego, iż nie była to jasność zaświatów, a blask szpitalnych lamp. Leżał w białym pomieszczeniu. Był podłączony do maszyny. Nie mógł mówić. Nie mógł się ruszyć. Jego ciało było potwornie osłabione. Rozumiał, co to oznacza. Uratowano go. Ale co z Angelem? Gdzie był Angel?

Pierwsze tygodnie przepełnione były paniką. Widział swoich rodziców, lekarzy i pielęgniarki, słuchał ich słów, zatroskanych, uspokajających, pełnych niezrozumienia, ale nigdzie nie pojawiało się imię Angela, co tylko potęgowało jego strach. W końcu odzyskał odrobinę sił. Niewiele, tyle, by zacząć się szarpać i sprawiać problemy. Natychmiast przypięto go do łóżka, ale wreszcie częściowo odłączono go od aparatury i pozwolono mu mówić.

Matka od razu zapytała, dlaczego targnął się na swoje życie, ale zignorował ją.

– Gdzie jest Angel? – rzucił natychmiast.

– Synku...

– Gdzie on jest?!

Nie obchodziło go to, co mówili inni. Ich słowa nie mogły go uspokoić, a kolejne pytania jedynie drażniły. Sam również pytał, krzyczał, żądał i gdzieś pośród tych pełnych desperacji wrzasków, dopatrzono się wreszcie prawdy.

– Zaraz... Ktoś był z tobą?

– Tak! Angel był ze mną! Gdzie on jest?! Czy w ogóle żyje?!

Tego dnia nie otrzymał odpowiedzi. Ta nadeszła dopiero nazajutrz, ale brzmiała absurdalnie i niewiarygodnie.

– Angel Michels żyje i nic nie zagraża jego zdrowiu – poinformował go doktor. – Nie zażył Ignoscentyny.

– To niemożliwe, zrobiliśmy to razem!

– Rozumiem, dlaczego tak sądzisz. Michels przyznał, że naklonił cię do próby samobójczej. Powiedział też, że obiecał, iż zrobicie to razem, ale prawda jest taka, że nie tylko nie targnął się na swoje życie, ale wcale nie miał takiego zamiaru.

Leonard ani myślał dać wiary tym słowom. Jeśli Angel faktycznie nie wziął tabletki, musiał istnieć jakiś logiczny powód i to z pewnością nie taki. Przecież się kochali, prawda?

Domagał się spotkania z Angelem. Odmawiano mu raz po raz, ale on awanturował się do tego stopnia, że w końcu przyniesiono mu do pokoju telewizor i odtworzono nagranie.

Był na nim Angel, cały i zdrowy. Siedział przy biurku, w kiepsko oświetlonym pomieszczeniu, naprzeciwko kamery, którą przez większość czasu ignorował. Ktoś zadawał mu pytania związane z tamtym dniem. Po serii lakonicznych odpowiedzi, które zdawały się stanowić potwierdzenie tego, co powiedział Leonardowi lekarz, padło najistotniejsze pytanie:

– Dlaczego to zrobiłeś?

Angel spojrzał wprost w obiektyw kamery i wpatrując się w nią swymi mglistymi oczyma, oznajmił beznamiętnie:

– Po prostu chciałem zobaczyć, jak ktoś umiera.

Leonard już wtedy wiedział, że nie zapomni tych słów do końca życia.

Pierwsze tygodnie pełne były protestów i okłamywania samego siebie. Wmawiał sobie, że to niemożliwe, że to spisek, jakaś wielka konspiracja, że Angel został zmuszony, by to powiedzieć, a może zginął wtedy, wraz z nim, a teraz ktoś podszywał się pod niego i usiłował robić Leonardowi wodę z mózgu. Karmił się złudzeniami, bo złudzenia były jedynym, co mu pozostało, ale wkrótce i one się skończyły. Musiał wreszcie przyjąć, że to prawda. Że Angel, jego Angel, usiłował sprawić, by zginął.

Po trzech miesiącach organizm Leonarda wrócił do normy, jednak psychika regenerowała się znacznie wolniej. Nie chciał żyć. Teraz, z perspektywy czasu, zdawało mu się, że nie próbował zabić się ponownie tylko i wyłącznie dlatego, by nie dawać Angelowi satysfakcji.

Gdy w końcu, wypuścili go ze szpitala, przeniósł się do innej szkoły. Nie z powodu zaległości, bo te by nadrobił, i nie z powodu faktu, że wszyscy naokoło wiedzieli, co się

wydarzyło, bo do tego by przywykł. Najzwyczajniej w świecie nie chciał nieustannie oglądać miejsca, w którym to wszystko się wydarzyło.

Angel trafił do specjalnego ośrodka dla problematycznej młodzieży. Uciekł z niego po roku, ale o tym Leonard nie wiedział. Żył już innym życiem, studiował i usiłował zapomnieć o przeszłości. Niestety przeszłość powróciła cztery lata później, gdy o Angelu usłyszał nie tylko on, ale i cały Metrolit.

Na obrzeżach neonowego miasta doszło do potwornej zbrodni. Zamordowano czteroosobową rodzinę w ich własnym domu. Media żyły tą sprawą, raz po raz ujawniając kolejne, mrożące krew w żyłach detale barbarzyńskiego czynu. Wyglądało na to, że zabójca godzinami torturował swoje ofiary, każdą z nich na inny sposób, nim wreszcie zakończył ich żywot. Dochodzenie trwało tygodniami, a tropy urywały się jeden po drugim. Podejrzewano krewnych, sąsiadów, współników, znajomych i każdego, kto mógł mieć jakikolwiek związek z zamordowaną rodziną.

Przełom w sprawie nastąpił nagle, dosłownie z dnia na dzień. Najpierw do mediów przedarły się informacje o tym, że znaleziono sprawcę, a jeszcze tego samego wieczora potwór został aresztowany. Potwór, którego Leonard dobrze znał. Angel Michels.

Oglądał relację na żywo w osłupieniu, czując się tak, jak gdyby był to upiorny koszmar, a nie rzeczywistość. Obserwował, jak pośród błysków fleszy i świateł kamer prowadzą go na komisariat. Angel sprawiał wrażenie zagubionego, może wręcz przestraszonego. Napierający zewsząd tłum zdawał się go dezorientować i przytłaczać. Wyglądał tak bezbrinnie i niewinnie, że gdyby Leonard na własnej skórze nie przekonał się, do czego był zdolny, miałby problem, by uwierzyć w jego sprawstwo. Nadal zresztą ciężko było mu zaakceptować, że chłopak, którego kiedyś kochał, okazał się pozbawionym skrupułów psychopata.

Publiczny proces zakończył się wyrokiem skazującym. Dziesięć lat więzienia. Dla większości brzmiało to jak żart, ale brak jasnego motywu (Angel nie znał zamordowanej rodziny. Twierdził, że udało mu się dostać do domu swych ofiar, gdy poprosił o możliwość skorzystania z telefonu po tym, jak rzekomo popsuł mu się samochód) oraz wiele niewyjaśnionych wątków, wzbudziło wątpliwości u niektórych sędziów, pomimo przyznania się do winy. Leonard nie czuł rozczarowania. Wprost przeciwnie, gdy zapadł



werdykt, wypełniło go poczucie satysfakcji. Miał wrażenie, jak gdyby właśnie dokonała się sprawiedliwość. Winny poniesie karę.

Ten wieczór wyznaczył zmianę w jego życiu. Porzucił dotychczasową pracę, zmienił nazwisko i wstąpił do Służby Oficerów Metrolitu, by szybko awansować, a następnie znaleźć swoje miejsce w wydziale kryminalnym. Wiedział, co go motywowało – desperacka potrzeba zanurzenia się raz jeszcze w błogim poczuciu, że wszystko jest takie, jakie być powinno. Desperacka potrzeba sprawiedliwości. Chciał doprowadzać do jej wymierzenia i odnajdywać innych chłopców i mężczyzn o mglistych spojrzeniach, których fascynowała śmierć. Całkowicie oddał się swojej pracy i zdawało się, że poczucie obowiązku zasklepi dawne rany, ale Angel pojawił się raz jeszcze.

Nie przesiedział dziesięciu lat. Wypuszczono go po pięciu, choć wieści o tym nie przedostały się do opinii publicznej. Leonard również nic o tym nie wiedział. Wszystko zorganizowane zostało niezwykle cicho – później twierdzono, że do uwolnienia doprowadziły sprzeczności w zeznaniach świadków oraz zaniedbania proceduralne, ale tak naprawdę nigdy nie udzielono precyzyjnej odpowiedzi, o co konkretnie chodziło. Niezależnie od tego, czy była to pomyłka, czy celowe działanie, konsekwencje okazały się straszniejsze, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Sześć miesięcy po wyjściu na wolność, Angel po raz kolejny dał o sobie znać. Leonard pamiętał tę noc tak, jak gdyby było to wczoraj. Akurat miał wychodzić z bazy, załatwiał jeszcze ostatnie formalności związane ze swoją pensją, gdy do pokoju wspólnego wbiegł jego znajomy z wydziału i polecił, by włączyli telewizję. Licencję na nadawanie w porze nocnej miała tylko jedna stacja – Metrolit24. Leonard częściej jej słuchał, niż oglądał, gdy zostawał w pracy do późna i potrzebował, by coś grało w tle. W tamtej chwili nie był jednak w stanie oderwać wzroku od ekranu.

Za blatem nie siedziała para znanych mu z wyglądu prezenterów, a niebieskowłosa mężczyzna w białej masce. Plama krwi, znajdująca się na obiektywie, zasłaniała część widoku, jednak niewystarczająco wiele, by ukryć leżące przed stołem ciała. Sprawca przedstawił się jako Void i ogłosił, że to pierwsza z jego dwudziestu czterech zbrodni, po czym zdjął maskę.

To był Angel, po raz kolejny zupełnie inny niż wcześniej. Nie był zdezorientowany ani złęczony, jak wtedy, gdy prowadzono go do aresztu. Śmiał się, z dumą prezentując

*swoje ofiary, jego głos ociekał satysfakcją, gdy artykułował kolejne groźby, a w mglistych oczach tliło się szaleństwo.*

*Uciekł, nim oficerom udało się dostać na miejsce. Szukano go przez długie tygodnie, ale bez skutku. Wyglądało to tak, jakby Angel dosłownie zapadł się pod ziemię, póki nie wydarzyła się kolejna zbrodnia, a niedługo po niej następna. Media żyły poczynaniami Voida. Więcej, żyły samym Voidem, i wkrótce jego osoba zaczęła inspirować oraz popychać do działania innych. W odpowiedzi na tę sytuację powołano specjalny wydział, który zajął się wyłącznie tropieniem seryjnych zabójców. Leonard dołączył do jego szeregów po czwartej zbrodni Voida. Nie trwało długo, nim jego zaangażowanie w sprawę uczyniło go detektywem prowadzącym. Jego determinacja nie wynikała z chęci zemsty, a po prostu dążenia do przywrócenia porządku. Niczego to jednak nie zmieniło – dokonywano kolejnych przestępstw, niektórych sprawców udawało im się namierzyć, ale Void wciąż pozostawał równie bezwzględny, co bezkarny.*

*Nic dziwnego, bo w starciu z Voidem metody Leonarda stawały się całkowicie bezskuteczne. Nie rozumiał Voida. Nie potrafił pojąć, co nim kierowało, tak wtedy, gdy ten przekonywał go do rozstania się z życiem, jak teraz, gdy oglądał jego kolejne ofiary, zabijane w coraz to wymyślniejszy sposób. Nie zdawało się w tym być żadnego sensu, żadnej struktury ani ładu. Leonard czuł się tak, jak gdyby błądził we mgle. Był pewien jednego – chłopak, którego kiedyś znał, przestał istnieć, o ile kiedykolwiek istniał. Angela nie było. Oduczył się myślenia o nim w taki sposób. Oduczył się mówienia o nim w taki sposób. Był tylko Void.*

*I wspomnienia, od których nie dało się uciec.*

\*\*\*

Niebo było ciemne i upstrzone gwiazdami. Powietrze chłodne i przenikające na wskroś, niosące ze sobą nieprzyjemny zapach zgnilizny. Boczna alejkę, w której znajdował się Thorn, oświetlał jedynie blask migającego wysoko nad nim pomarańczowego neonu. Do uszu mężczyzny docierał stłumiony odgłos syren, ale tu, gdzie się znajdował, panowała cisza.

Czekał. Jego ciało było napięte, słuch wyczulony, a wzrok dawno zdążył się przyzwyczaić do tej połowicznej ciemności. Miał świadomość, że ta noc mogła stanowić przełom, którego pragnął od tak dawna, ale ile takich nocy i dni miał za sobą? Ile razy zawiódł się na własnym instynkcie? Nie potrafiłby zliczyć. Lada moment wszystko mogło się zmienić – na lepsze lub znacznie gorsze, wszak Void zawsze zdawał się być dwa kroki przed nimi.

Nie dziś.

Usłyszał dźwięk otwierających się gwałtownie drzwi, a następnie odgłos uderzającego o metaliczną powierzchnię obuwia. Thorn miał wrażenie, że jego serce zamarło na kilka sekund, gdy podniósł wzrok i dostrzegł jego – zbiegał po schodach przeciwpożarowych w takim popłochu, jak gdyby z budynku faktycznie wypłoszyły go płomienie, a nie szwadron służb porządkowych. Gdy dotarł na dół, zatrzymał się i oddychając nierówno, rozejrzał dookoła, prawdopodobnie zastanawiając nad możliwą drogą ucieczki. Wtedy dostrzegł Thorna i natychmiast rzucił się biegiem w przeciwnym kierunku. Thorn miał rękę na broni, mógł z niej skorzystać, ale nie chciał tego. Ruszył za mężczyzną, a moment później dopadł go i powalił na ziemię. Nie zdziwił się, że nie sprawiło mu to problemu – jego przeciwnik nigdy nie prezentował dobrej formy fizycznej i najwyraźniej nic się przez te lata nie zmieniło.

– Nie ruszaj się – warknął ostrzegawczo Thorn, krępując ręce mężczyzny za jego plecami.

Znajomy śmiech sprawił, że przeszły go dreszcze.

– Nie ośmieliłbym się. – Odpowiedź zatrzymanego brzmiała jak drwina.

Thorn założył mu kajdanki i przewrócił go na plecy. Po tym, co usłyszał, nie powinien mieć wątpliwości, z kim ma do czynienia, a jednak chciał całkowitej pewności. Void wymykał mu się tak często, że aż trudno było uwierzyć, iż faktycznie go schwytał – to wydawało się zbyt dobre, zbyt proste, niczym fragment cholernego snu, a nie otaczającej go dotąd ponurej rzeczywistości.

To był Void. Niebieskie, półdługie, zwyczajowo pozbawione ładu włosy, rozsypały się dookoła – to nie był ich naturalny kolor, a jednak pasował do niego idealnie, jak gdyby tak właśnie przyszedł na świat. Mężczyzna oddychał płytko, wycieńczony biegiem. Czas i na nim odcisnął swoje piętno. Gdyby przyjrzeć mu się

uważnie, można byłoby jeszcze dostrzec cień dawnej urody, ale teraz jego twarz miała niezdrowy kolor, była wychudła i zapadnięta. Wyglądał na zmęczonego, nie tyle próbą ucieczki, co całą swoją nieszczęsną egzystencją i akurat to Thorn był w stanie zrozumieć.

Jak dziwnie było spoglądać znowu wprost w te mgliste, błękitne oczy, zwłaszcza gdy do umysłu detektywa powracały wspomnienia z momentu, kiedy oglądał je na żywo po raz ostatni. Czuł zarówno euforię, jak i gniew, podszyty jakimś dziwnym, irracjonalnym lękiem, obawą, że to wszystko jakiś zręczny plan zabójcy, a on lada moment znajdzie się na celowniku. Gdy podnosił Voida na nogi, jego ręce drżały z emocji. To samo drżenie dało się słyszeć w jego głosie, kiedy oznajmił:

– Aresztuję cię w imieniu Oficerów Metrolitu. Masz prawo do złożenia zeznań bez jakichkolwiek nacisków czy zewnętrznych wpływów, masz prawo do godnych warunków bytu, sporządzenia listy świadków, mogących zeznawać na twoją korzyść, a także wykonania jednego telefonu. Prawdopodobnie twojego ostatniego – dodał już pewniej.

Zaprowadził Angela na przód budynku, gdzie znajdowało się kilkanaście pojazdów rozmaitych służb porządkowych. W trwającym wokół zamieszaniu nikt z początku nie zwrócił uwagi na zbliżających się mężczyzn. Pierwszy był Creed.

– Kurwa jego mać... – rzucił z zaszokowaniem, spoglądając w stronę Thorna. – Czy to...?

– Tak – potwierdził detektyw.

Creed zamrugał kilkakrotnie, spoglądając na zatrzymanego z zaszokowaniem.

– Witam, panie oficerze – rzucił spokojnie Void.

Creed zignorował te słowa i przeniósł wzrok na Thorna.

– Nie mogę uwierzyć, że ci się udało.

– Ja też nie – odpowiedział zgodnie z prawdą mężczyzna, po czym kiwnął głową w stronę drugiego detektywa ze swojego oddziału, który przysłuchiwał się rozmowie. – Cage, zabierz go.

– Robi się.

Cage otworzył tylne drzwi samochodu, po czym chwycił Voida za ramię i bez cienia subtilności wpakował go do środka.

- Proszę uważać na moją głowę.
- Zamknij ryj.
- Wszystko w porządku? – dopytał Creed, gdy Void został zamknięty w aucie.

Przyglądał się detektywowi w taki sposób, jak gdyby coś go martwiło.

– Tak, tak – potwierdził Thorn, zbywając niepokoje znajomego gestem dłoni. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że wreszcie się udało. Pewnie dotrze to do mnie dopiero wtedy, gdy będzie już po procesie – zażartował ponuro, choć nie było to takie znowu nieprawdopodobne.

Creed pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nie przypuszczałem, że złapiemy drania – przyznał. – Na pewno nie dzisiaj.
- Co teraz?

– Straż ewakuuje mieszkańców, a zaraz po nich do budynku wkroczy wydział do spraw terroryzmu. Trzeba się upewnić, czy skurwiel nie zostawił nam jakiejś niespodzianki. To było aż za proste.

- Zgadzam się.

Creed zerknął przez ramię w kierunku samochodu, wokół którego zaczęli zbierać się ciekawscy. Póki co byli to tylko członkowie innych służb i Thorn był ostatnią osobą, jaka mogła dziwić się ich zainteresowaniu, ale takie wiadomości szybko się rozchodziły, a to oznaczało, że lada moment mógł się tu zjawić tłum gapiów.

- Jadę z Cage'em – oznajmił Creed. – Ty też wracasz?
- Jeszcze nie. Poczekam, aż wszystko sprawdzą.
- Jasna sprawa. Do zobaczenia na miejscu.

Creed wsiadł do samochodu, który moment później odjechał wraz z Voidem.

Thorn odetchnął cicho, starając się skoncentrować na tym, co się działo, ale panująca dookoła wrzawa niczego nie ułatwiała. Jego serce biło jak oszalałe, z początku z ekscytacji, ale ta z każdą chwilą zaczynała zmieniać się w niepokój. Szybko pożałował tego, że odesłał Voida z kimś innym – fakt, iż ten nie znajdował się pod jego nadzorem, budził u Thorn'a obawy. Jeszcze przez chwilę kręcił się po okolicy, ale zaraz, wbrew swej zapowiedzi, wsiadł do samochodu i pojechał prosto do ich siedziby.

Ledwie zdążył wejść do środka, a znowu natknął się na Creeda.

– Świetna robota, Thorn. Nie ciesz się zbytnio, znając Harding, każe ci spisać raport na dziesięć stron – rzucił, uśmiechając się wesoło.

Zaraz za nim stał Cage.

– Zajebista robota, Thorn – oznajmił, klepnąwszy detektywa po ramieniu. – Opijemy to jutro, co?

Obaj zdawali się być w doskonałych humorach, co kontrastowało z Thornem, który tylko uśmiechał się wymuszenie. Miał wrażenie, że jego serce lada moment wyskoczy z piersi. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy wszedł do głównego pomieszczenia i zobaczył Voida w celi. Ogarnęło go uczucie ulgi. Wszystko było w porządku. Brzmiało to tak dobrze, że wręcz niewiarygodnie, ale nic nie było już w stanie tego zmienić – wreszcie mieli go w swoich rękach.

– Dobra robota, Thorn – mruknął Cross, zerkając przelotnie na detektywa.

– Dzięki.

Ktoś wpadł do głównego pomieszczenia z takim impetem, że omal nie wyłamał drzwi.

– To, co mówią w sieci, to prawda?! Naprawdę go złapaliśmy?!

– Wracaj do siebie, Kit – polecił jedynie Thorn.

– To niesamowite! – ucieszył się chłopak, przejawiając w tym momencie więcej ekscytacji niż w ciągu paru miesięcy pracy tutaj razem wziętych. Podszedł bliżej celi. – Och, rany...

– Kit. Do siebie.

– Chcę go tylko zobaczyć.

– Dobra robota, Thorn. – Juliette Harding, szefowa wydziału, wyłoniła się ze swojego biura, by pogratulować detektywowi.

– Zastanawiam się, ile razy jeszcze to usłyszę – westchnął ze znużeniem Thorn.

– Nie podoba ci się? Zamiast tego możemy podyskutować o obszernym raporcie...

Thorn zaśmiał się ochryple.

– I tak mi nie darujesz.

– Dziś tak. – Harding uśmiechnęła się lekko. – Kit! – rzuciła zaraz ostro, bo ich młody informatyk zdążył znaleźć się niezwykle blisko celi. – To nie pora pierdolonego widzenia, a ty nie jesteś jego żoną. Wracaj do siebie.

Thorn parsknął cicho pod nosem, widząc zawód malujący się na twarzy chłopaka, gdy ten wracał do swojego gabinetu, wciąż oglądając się na więźnia. Zaczynał odzyskiwać humor.

Harding podeszła do krat.

– Czy w budynku, w którym zamierzałeś dokonać zbrodni, znajduje się jakiś ładunek wybuchowy albo coś podobnego? – zapytała znajdującego się za nimi mężczyznę.

Void, który do tej pory, pólżąc na wąskim łóżku, przyglądał się temu, co się wokół niego działo ze znużeniem, przeniósł spojrzenie na kobietę.

– Nic o tym nie wiem, pani oficer – oznajmił ze spokojem.

– To może ci pomóc – stwierdziła Harding. – Jeśli zastawisz tam pułapkę i się do tego przyznasz, nim komukolwiek stanie się krzywda, możesz liczyć na łagodniejszy osąd.

– Nie targuj się z nim – warknął Thorn.

– Nie robię tego. Po prostu wskazuję mu jego opcje.

– Gdybym faktycznie przygotował bombę, dopilnowałbym, żeby eksplodowała, gdy w budynku będzie jak najwięcej osób, włączając w to szanownych oficerów, a nie, kiedy większość zostanie z niego ewakuowana – mruknął obojętnie Void. – Poza tym, bomby nie są w moim stylu.

– Przekonamy się – rzuciła Harding, po czym kiwnęła głową w kierunku Thorn, dając mu znak, by ten poszedł za nią.

Chwilę później znaleźli się w jej gabinecie.

– Naprawdę dobrze się spisałeś – stwierdziła kobieta, ignorując dzwoniące w tle telefony. Przez najbliższe parę dni nie zazna ani chwili spokoju. – Teraz powinienes wypocząć.

– Czuję się w porządku.

– Serio? Bo wyglądasz jak gówno.

Thorn parsknął śmiechem. Jeśli mógł na coś liczyć w swoim nieprzewidywalnym życiu, była to z pewnością bezpośredniość Harding.

– Położę się, gdy go stąd wywiozą – obiecał.

– Sępy pojawią się tu dopiero rano.

– Więc już niedługo.

Harding wpatrywała się w niego z troską.

– Przemij chociaż twarz. Naprawdę wyglądasz beznadziejnie.

Thorn potraktował te słowa jak polecenie służbowe i powlókł się do łazienki. Niemal przestraszył się na widok własnego odbicia. Chyba zaczynało do niego docierać, o co chodziło Harding i reszcie. Z parodniowym zarostem, rozczochranymi, przetłuszczonymi włosami, bladą twarzą i podkrążonymi oczyma, wyglądał niczym żywy trup. Doprawdy, że też myślał dziś o tym, iż Void prezentował się beznadziejnie... Naprawdę brakowało mu samokrytyki.

W ciągu ostatniego tygodnia spał góra po dwie godziny na dobę. Po każdej ze swoich zbrodni, Void zostawiał im krótką wiadomość – tym razem ta zdradziła zbyt wiele odnośnie jego przyszłego planu. Thorn najpierw spędził czas na rozgryzaniu komunikatu i sprawdzaniu wszelkich możliwych wariantów, a później zastanawianiu się, w jaki sposób zorganizować wszystko tak, by udało im się schwycić Voida. Ostatecznie wiele rzeczy wymknęło mu się spod kontroli, ale liczył się tylko końcowy rezultat. Jego wysiłek był tego warty. Kolejnej nocy będzie mógł spać spokojnie.

Wrócił do głównego pomieszczenia. Nie było tam już nikogo z wydziału – Cage i Creed pewnie zmyli się do domu, Kit siedział u siebie, Harding zajęta była telefonami, a za Crossem nigdy nie szło nadążyć.

Było cicho, wręcz zbyt cicho jak na jego gust. Zerknął ukradkiem w stronę Voida, by dostrzec, że i ten mu się przyglądał. Na wargach mężczyzny malował się leniwy uśmiech, a jego spojrzenie było równie mgliste, co zwykle. Thorn poczuł nieprzyjemne mrowienie w okolicach karku. Wzdrygnął się odruchowo, po czym usiadł przy jednym z biurk.

Harding miała rację – powinien się przespać. Do tej pory przy przytomności utrzymywały go emocje i adrenalina, ale te zaczynały stopniowo opadać. Był wycieńczony. Dziś nie pozostało mu już nic do zrobienia, wiedział, że nikt z oddziału



nie będzie go męczył, że mógłby po prostu wrócić do domu i przespać ciągiem kolejne dwie doby, na co miał teraz wielką ochotę. Nie chciał jednak zostawiać Voida samego. Bał się, że coś pójdzie nie tak. Miał świadomość, że to irracjonalne, że ten nie ucieknie, że jest zamknięty, że nie ma przy sobie żadnych niebezpiecznych przedmiotów, a jutro go stąd zabiorą i Thorn zobaczy go po raz kolejny dopiero na ekranie telewizora, w relacji z jego procesu, ale mimo to nie potrafił wyzbyć się tego niepokoju. Jeszcze tylko parę godzin, a całe to szaleństwo dobiegnie końca.

Thorn miał wrażenie, że lada moment jego oczy zamkną się same. Walczył zarówno z sennością, jak i uczuciem dyskomfortu, a nawet specyficznego lęku, jaki budziła w nim sama obecność Voida.

– Przyszedłeś tu, żeby mnie pilnować, oficerze?

Oczywiście musiał się odezwać. Thorn skrzywił się mimowolnie, po czym przeniósł na aresztowanego pełne niechęci spojrzenie.

– To wydaje się zbędne – zauważył Void, przechylając lekko głowę i spoglądając na niego z tym samym, spokojnym uśmiechem, który przez swoją niezmienną zdawał się stanowić kpinę samą w sobie. – Nie podejrzewasz chyba, abym mógł przenikać przez kraty? Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, nie byłem też wystarczająco silny, żeby się przez nie przedrzeć, więc... Po co wciąż tu jesteś?

Thorn nie czuł, by musiał odpowiadać na to pytanie.

– Wydajesz się za mną nie przepadać – pozwolił sobie zaobserwować Void.

– Dziwi cię to?

– Nie. Raczej intryguje.

– Bo zwykle ludzie pałają wobec ciebie sympatią? – zadrwił Thorn, zerkając na mężczyznę.

Void zaśmiał się cicho.

– Bo zwykle to ja intryguję ich – stwierdził.

Skromność tej deklaracji sprawiła, że Thorn przewrócił oczyma, choć w gruncie rzeczy wiedział, że ten wariat się nie myli. To miasto pełne było psycholi, którzy zdawali się traktować Voida niczym swojego idola. Trudno było się dziwić, wszak nawet w oczach zwykłych ludzi, urósł do miana pieprzonego celebryty. Nie było dnia, w którym nie pisanoby o Voidzie lub nie mówiono o nim w sieci. Jutro każda gazeta

wydawana w Metrolicie będzie donosiła na pierwszej stronie o jego zatrzymaniu, a kanały informacyjne będą żyły najpierw tym, a później procesem Voida przez najbliższe parę miesięcy.

– Jak się nazywasz, oficerze? – zainteresował się Void.

– Thorn.

– I tyle? Czyżbym nie zasługiwał nawet na to, by poznać imię człowieka, który mnie schwytał? – pokpiwał sobie morderca.

– Nie wierzę, że go nie znasz – odparł szorstko Thorn.

Był detektywem prowadzącym w sprawie zbrodni Voida i nie stanowiło to tajemnicy, a więc i on pojawiał się zarówno w prasie, jak i telewizji.

– Zastanawiam się po prostu, co mi umknęło – oznajmił niewinnie Void, mrugając oczami w taki sposób, jak gdyby nie był w stanie pojąć, z czego wynika ostry ton Thorn. Oczywiście to była tylko gra. – Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek znał kogoś takiego.

– Ponieważ się nie znamy.

To nie było kłamstwo. Protest, mający na celu odwiedzenie Voida od poznania jego tożsamości, owszem, ale tak czy inaczej, nie czuł, by kiedykolwiek naprawdę go znał.

– Doprawdy? Wybacz, oficerze, ale ten rodzaj napięcia kojarzy mi się z czymś osobistym. Mam nadzieję, że nie zabiłem nikogo z twojej rodziny, bliższej czy dalszej. Chociaż biorąc pod uwagę liczbę moich ofiar, nie byłoby to takie znowu nieprawdopodobne, czyż nie?

– Zamilcz – warknął Thorn.

– Trafiłem?

– Nie. I lepiej zastosuj się do tego polecenia albo w moim przyszłym raporcie znajdzie się wzmianka o tym, że podczas zatrzymania zgubiłeś kilka zębów.

Void zaśmiał się cicho, po czym przesunął na drugi koniec łóżka, blisko krat. W jego oczach igrało coś niebezpiecznego.

– Ciekawe – rzucił.

– Co takiego?

– Czy byłbyś skłonny to zrobić.

Thorn zmrużył oczy, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Naprawdę chcesz się przekonać?

– Nie boję się.

– Utraty zębów?

– Utraty czegokolwiek – oznajmił beznamiętnie Void, wzruszając ramionami. –

Urodziłem się bez uczucia strachu, dlatego tak bardzo lubię obserwować go u innych. To ciekawe. Badanie tego, co powinno być naturalne, a jednak pozostaje dla nas obce. Długi czas zastanawiałem się, czy brak podobnych odczuć czyni mnie lepszym, czy gorszym od przeciętnego człowieka i wciąż nie znam odpowiedzi. Na pewno jednak czyni mnie kimś innym.

– Wzruszające – stwierdził kąśliwie Thorn, co nie zdawało się ani trochę zmącić spokoju jego rozmówcy. – Powiedz mi jeszcze, że urodziłeś się też bez empatii, jak na każdego psychologa przystało, i poużalaj się nad swoim losem.

– Och, ależ ja mam w sobie wiele empatii. Rozumiem wszystkich i wszystko, nawet strach, pomimo tego, że sam go nie doświadczyłem. Rozumienie innych jest kluczowe do osiągnięcia celu. Manipulacja to podstawa, nikt nie słucha szaleńców. Chyba że dobrze się ukrywają.

– Bzdura – prychnął Thorn. – Słucha ich zbyt wielu i dlatego ten świat wygląda tak, jak wygląda.

Void przyglądał mu się badawczo.

– Beze mnie stanie się lepszy? – zapytał z zaciekawieniem.

– Zapewne nie na długo, ale tak. Okazjonalne wywożenie śmieci zdaje się pomagać.

Void zaśmiał się swobodnie.

– Nie masz względem mnie litości, co, oficerze? – rzucił z rozbawieniem. – Mylisz się jednak, jeśli sądzisz, że moja historia dobiegnie tutaj końca.

Thorn poczuł, jak jego ciało się napina.

– Nie uciekniesz – warknął.

– Nie zamierzam – odpowiedział spokojnie Void. – Co nie zmienia faktu, że nie skończę tutaj.

– Zostaniesz skazany.

– Ha! Oby na dwadzieścia cztery lata! – Śmiech Voida brzmiał niemal obłąkańczo. – To dopiero byłoby coś, czyż nie? – Chłodny spokój momentalnie powrócił. – Podobałoby mi się to, oficerze. O tak, nawet bardzo.

– Ty naprawdę jesteś szalony.

– Tak twierdzą – odrzekł lekceważąco Void.

– A ty pewnie uważasz się za niezrozumianego geniusza? – zakpił Thorn.

Jego rozmówca uśmiechnął się niepokojąco.

– Nie. Za siewcę chaosu.

Thorn uśmiechnął się kwaśno. A to dopiero.

– Cóż, „siewco chaosu”, nie dopiąłeś swego – zauważył. – Twój dwudziestoczeroczęściowy plan zawiódł na ostatnim etapie.

– Dzięki tobie, oficerze. – Void kiwnął głową w wyrazie uznania. – Należą ci się gratulacje.

Thorn zmrużył oczy, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie.

– To wciąż oznacza, że zawiodłeś.

– Doprawdy? Na zewnątrz jest wielu takich jak ja. Obserwowali mnie przez długi czas, realizując przeze mnie to, czego sami pragnęli dokonać. Czuję, jak nabierają śmiałości. Jak z każdym dniem wzbiera w nich odwaga, by wreszcie wziąć sprawy w swoje ręce. Żywy czy martwy, na zewnątrz czy w zamknięciu, wciąż jestem dla nich symbolem. To więcej niż mogłem marzyć.

Thorn pokręcił głową i przymknął powieki, czując, że traci i siły, i chęci do dalszej rozmowy. Void był szaleńcem, ale nie mylił się w swym obłądzeniu.

Tacy jak on wciąż byli na wolności.

\*\*\*

Tuż nad ranem Harding znalazła go w pomieszczeniu głównym i nakazała, by poszedł wreszcie spać. Thorn nie był tym zachwycony, zamierzał doczekać momentu, w którym zabiorą Voida, ale wiedział, że kobieta ma rację – nawet siedząc nieopodal największego seryjnego zabójcy w Metrolicie, nie był w stanie utrzymać głowy w pionie, a oczy zamykały mu się same. Jego organizm zdradzał coraz dotkliwsze oznaki

wyczerpania i nawet Thorn wiedział, że groźnie jest to ignorować. Poszedł do swojego gabinetu i tam, w fotelu, przespał kilka godzin.

Obudził się o dziesiątej i ledwie odzyskał odrobinę świadomości, zerwał się z miejsca, a następnie, jeszcze zaspany, pognął do pomieszczenia głównego. Nikogo tam nie było, wliczając w to Voida – jego cela stała pusta. Thorn odetchnął cicho, uspokajając się stopniowo. Przetarł twarz dłońmi, po czym ruszył w stronę łazienki, ale zatrzymał się, słysząc dobiegające z pokoju wspólnego głosy. Wszedł do pomieszczenia.

Wewnątrz znajdowała się połowa ich wydziału – Cage, Creed oraz Kit. Wszyscy trzej pili poranną kawę, w dobrych humorach, wyglądając względnie świeżo i z pewnością prezentując wyższy poziom przytomności od Thorna, czego ten szczerze im zazdrościł. Zazdrościł im też spożywanej właśnie kofeiny, ale choć czajnik i wszystkie niezbędne do przygotowania ciepłego napoju rzeczy znajdowały się dosłownie parę metrów od niego, natychmiast opadł na jedno z wolnych krzeseł, nie czując się na siłach, by cokolwiek robić.

– Proszę, proszę. – Creed powitał go promiennym uśmiechem. – Patrzcie, kto się obudził. Toż to nowy bohater Metrolitu! Jak się czujesz, oficerze Thorn? – zapytał, imitując typowo dziennikarski ton. – Powiedz nam wszystkim, jakie wrażenia ma człowiek, który schwytał wielkiego Voida!

A więc to nie był sen. Nie żeby poważnie rozważał taką możliwość, ale dobrze było się upewnić. Najwyraźniej życie mogło być czasem proste i przyjemne.

– Zabrali go? – zapytał zachrypniętym głosem.

– No przecież się nie zdematerializował – zażartował Creed. – Zabrali, z samego rana. Stary Sęp pofatygował się osobiście.

– Nic dziwnego. Co z budynkiem?

– Czysty. Przetrzęsnęli go z góry na dół, nie ma się czym martwić.

Thorn kiwnął głową, przyjmując tę wiadomość z ulgą. Odruchowo spojrzął w kierunku wiszącego na ścianie ekranu, który, jak zawsze tutaj, wyświetlał jakąś stację informacyjną. Dźwięk był całkowicie wyciszony, ale pokazywane zdjęcia od razu wskazywały na to, że wałkowano właśnie zatrzymanie Voida. Odetchnął cicho, mając wrażenie, że dopiero teraz jego ciało zaczyna się rozluźniać. To rzeczywiście był koniec.

– Pani Harding cały czas wisi na telefonie – odezwał się Kit. – Wszystkie łącza, nawet te awaryjne i międzywydziałowe, są zajęte.

– To normalne, dzieciaku – odparł Cage. – Zawsze, gdy coś pierdolnie, wszyscy, począwszy od przełożonych, a na dziennikarskich hienach kończąc, zaczynają się nam dobierać do dupy.

– „Pierdolnie”? – powtórzył Kit, marszcząc brwi. – Przecież złapaliśmy Voida. To chyba dobrze, prawda?

– No. Nie mówiłem przecież, że był to zły rodzaj pierdolnięcia, nie?

Creed parsknął śmiechem, widząc, jaką dezorientację wywołało u chłopaka stwierdzenie jego partnera.

– Dobrze, że nie słyszeliście jej wczoraj – mruknął Thorn, zerkając na kubki współpracowników odrobinę zbyt zachłannie, by można było to uznać za normalne.

– Chyba nie molestowała cię o raport? – zdumiał się Creed.

– Nie, pytała Voida, czy zastawił coś w budynku. „Jeśli się przyznasz, dostaniesz niższą karę” – powtórzył z pamięci słowa kobiety, kręcąc głową. Uwielbiał Harding, dogadywali się, odkąd tylko pojawił się w tym wydziale i uważał ją za właściwą osobę na właściwym miejscu, ale czasem miał wrażenie, że zapominała, z jakimi ludźmi mieli do czynienia.

– Jakby się tego bał – parsknął Cage.

– Zresztą jak bardzo „niższą”? – zapytał bez zrozumienia Creed. Najwyraźniej i on nie pojmował sensu negocjowania z psychopatą. – Przecież nie mamy żadnego wpływu na jego karę. Sąd pewnie wzięłby to pod uwagę, ale dowalał mu taki wyrok, że parę lat w tą czy w tamtą nie będzie stanowić różnicy. O co się założymy, że dostanie stówę?

W Metrolicie nie obowiązywała ani kara śmierci, ani dożywocia, ale biorąc pod uwagę, że rekordowe wyroki sięgały ponad stu lat, a współczesna medycyna (przynajmniej ta dostępna dla przeciętnego obywatela), była w stanie wydłużyć naturalny żywot góra do stu pięćdziesięciu, na jedno wychodziło.

– Ej, Thorn.

– Hm?

– Sądzisz, że skoro świat jest w końcu bezpieczny, mógłbyś wreszcie zrobić nam wszystkim przysługę i wziąć prysznic? – zapytał Cage.

Thorn posłał mu mordercze spojrzenie.

Tobias Cage i Jarrett Creed byli jedynymi detektywami w wydziale, nie licząc Thorna. Nad sprawami pracowali we trójkę. Co prawda Harding też miała wszystkie potrzebne umiejętności, w końcu była wcześniej detektywem w wydziale kryminalnym, ale awansując na szefa wydziału, musiała przejąć na siebie funkcje związane z koordynacją zespołu, utrzymywaniem odpowiednich relacji z innymi wydziałami, a także kontaktem z mediami. Nie miała możliwości brania czynnego udziału w śledztwach.

Detektywi różnili się pod względem sposobów działania. O ile Thorn lubił pracować sam, Cage i Creed stawiali na partnerską relację. Byli niemal nierozłączni. Do tego stopnia, że już z poprzedniego wydziału, ciągnęły się za nimi pogłoski o ich rzekomym romansie, co biorąc pod uwagę, że Creed był żonaty i miał dzieci, mogło budzić mieszane uczucia. Thorna nigdy to nie obchodziło. Nie tylko ze względu na fakt, że miał w młodości romans z przyszłym seryjnym zabójcą, co czyniło go ostatnią osobą uprawnioną do osądzania kogokolwiek, ale dlatego, że najzwyczajniej w świecie nie obchodziły go plotki. Dla niego liczyło się to, że Creed i Cage byli dobrzy w swojej robocie.

Dobrali się idealnie. Creed był przystojnym mężczyzną – wysokim, szczupłym, zawsze dobrze ubranym, o jasnych włosach i promiennym uśmiechu. Był spostrzegawczy, dyplomatyczny i czarujący jak diabli, doskonale radził sobie na przesłuchaniach, zwłaszcza gdy rozmawiał z kobietami.

Cage'owi również niczego nie brakowało pod względem wyglądu, choć był to zupełnie inny rodzaj atrakcyjności. Przez większość swojego dorosłego życia, grał w reprezentacji futbolowej Metrolitu i odnosił duże sukcesy, ale w końcu jedna z kontuzji okazała się zbyt poważna, by mógł powrócić na boisko. Najwyraźniej życie pozbawione ryzyka mu nie odpowiadało, bo wstąpił do Służby Oficerów Metrolitu i w końcu wyładował tutaj. Wciąż miał wygląd sportowca, nie dość, że był wysoki na dwa metry, to jeszcze solidnie zbudowany – umięśniony i barczysty, wszystkie służbowe ubrania ciasno go opinały. Sprawiał wrażenie, jak gdyby potrafił solidnie przyłożyć (i potrafił –

Thorn przekonał się o tym na własnej skórze, gdy któregoś dnia stanął pomiędzy nim a podejrzanym), a mimo dość topornego wyglądu, był też zaskakująco szybki i zwinny, co przy jego kondycji sprawiało, że każdy, kto próbował przed nim uciec, kończył parę minut później z twarzą wbitą w ziemię. Nie był najbystrzejszy pod słońcem – brakowało mu spostrzegawczości Creeda, czasem potrafił przeoczyć coś, co znajdowało się tuż przed jego nosem i nie miał cierpliwości do analizowania dowodów, ale podczas przesłuchań radził sobie równie dobrze, jak jego partner. Uzupełniali się nawzajem, doskonale ukazując kontrast pomiędzy łagodną i pojednawczą naturą Creeda a szorstkością i agresją Cage'a. Z wizerunkiem „twardego faceta”, jaki starał się utrzymać Cage, kłóciła się jego paranoiczna awersja do widoku krwi, co, biorąc pod uwagę ich zawód, bywało uciążliwe.

– Wiesz, co ma na myśli – podchwycił Creed, unosząc kącik ust w lekkim uśmiechu. – Wszystko jest już w porządku, więc dobrze by ci zrobiło, gdybyś wrócił w końcu do domu. Prześpij się, ogarnij i czekaj cierpliwie na informacje o kolejnym maniacu, który zepsuje nam dzień.

– Najpierw kawa – zarządził Thorn.

Kit podsunął mu swój kubek.

– Możesz wziąć moją. Wypiłem może ze dwa łyki, a zaraz muszę się zbierać.

Thorn uśmiechnął się do chłopaka z wdzięcznością. Wiedział, że jeśli ktokolwiek w tym gronie zechce się nad nim zlitować, będzie to właśnie ten dzieciak.

„Ten dzieciak” miał już dwadzieścia jeden lat, więc może nazywanie go w taki sposób nie było najbardziej adekwatne, ale drugą osobą po nim, pod względem wieku, był tutaj Cross, lat trzydzieści, a zatem przepaść pomiędzy nim a resztą załogi była naprawdę spora. Kit był informatykiem. Pracował z nimi od paru miesięcy (zajmująca wcześniej to stanowisko pani Rawson, przeniosła się do innego wydziału, twierdząc, że nie miała tu wiele do roboty). Nie rzucał się w oczy – przeciętny wygląd, ciemne krótkie włosy, okulary i powyciągane swetry z pewnością nie stawiały go w centrum zainteresowania. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle chciałby się w nim znajdować – bywał potwornie nieśmiały, zwłaszcza w towarzystwie kobiet. Tak czy inaczej, był sympatycznym dzieciakiem, nieco zbyt naiwnym i niezdrowo zafascynowanym



wszystkim, co dotyczyło seryjnych zabójców, ale odpowiedzialnym i znającym się na swojej robocie, a to Thorn cenił najbardziej.

– Spieszysz się gdzieś, młody? – rzucił Cage z niepokojącym uśmiechem, gdy Kit podniósł się z miejsca.

Chłopak posłał mu niepewne spojrzenie.

– No... Tak.

– Na randkę?

– N-Nie! – zaprotestował natychmiast Kit, wyraźnie zmieszany. – Po prostu mam coś do zrobienia.

– Szkoda. – Cage westchnął łącie dramatycznie. – Sądziłem, że wreszcie ci się uda.

– Uda co? – zapytał bez zrozumienia Kit.

– Pozbyć się okrutnego brzemienia bycia prawiczkim.

– Nie jestem prawiczkim – odpowiedział chłopak, starając się brzmieć pewnie.

– Serio?

– Tak.

– Serio „tak” jesteś czy serio „tak” nie jesteś?

– Serio tak... Zaraz, co? – jęknął cicho Kit, zdezorientowany słowami detektywa.

– Po prostu się martwię – kontynuował grobowo Cage, wzruszając ramionami. – Jeśli nie jesteś prawiczkim, to wszystko gra, ale jeśli tak, to nie jest bezpieczne dla zdrowia, wiesz?

– Jak to? – zapytał niespokojnie Kit.

Creed odwrócił twarz w stronę ekranu, dyskretnie zakrywając usta dłonią.

– Naukowcy udowodnili, że odkąd mężczyzna skończy dwadzieścia lat, powinien przynajmniej raz użyć tego, co ma. Bo jeśli tego nie zrobi, jego kutas zaczyna się kurczyć. – To jak Cage’owi udawało się mówić takie rzeczy z kamienną twarzą, pozostawało dla Thorna tajemnicą.

Kit parsknął głośno.

– To niemożliwe – stwierdził z pełnym przekonaniem.

– Słyszałem coś o tym – wtrącił Thorn.

Chłopak spojrzał na niego niepewnie.

– Każdy słyszał – potwierdził Cage. – Tylko że większości to nie dotyczy, bo wiesz, faceci zwykle używają tego, co dała im natura. Ty też powinienes, jeśli nie chcesz skończyć z fiutem rozmiarów orzeszka. I nie mówię tu o waleniu konia, tak żeby była jasność.

Kit patrzył na całą trójkę z narastającym niepokojem.

– Poważnie? – zapytał, przerażony.

– Oczywiście, że nie! – Dobrze, że chociaż Creed miał względem dzieciaka trochę litości. – Nie dawaj im się tak rozgrywać, młody, wiesz, że to dupki. – Kamienna twarz Cage’a zaczęła pękać, ukazując szeroki uśmiech. Thorn śmiał się cicho pod nosem. – Jedź do domu i niczym się nie martw. To, co masz dziś w spodniach, będzie tam i jutro – obiecał, rozbawiony.

– No tak. – Kit odkaszlnął, po czym zdobył się na nieśmiały uśmiech. – To do jutra.

– Do jutra, dzieciaku.

– Do jutra.

– Baw się dobrze!

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Kitem, Creed parsknął śmiechem i pokręcił głową w wyrazie dezaprobaty.

– Rany, ale z was zramolałe dupki. Dajcie dzieciakowi pożyc, co?

– To właśnie miałem na celu: dać mu pożyc – stwierdził Cage, szczerząc się wesoło. – Musi przeżyć swoją dawkę gnębienia, taka już dola młodego.

– Dlaczego „musi”?

– Żeby później wiedział, jak gnębić innych, oczywiście!

Creed zaśmiał się w głos.

– Naprawdę oberwałeś w głowę o jeden raz za dużo, wiesz?

Thorn zauważył, że w telewizji rozpoczęła się jakaś relacja na żywo. Z początku uznał, że dziennikarze zgromadzili się pod budynkiem Departamentu Orłów, ale gdy tylko dostrzegł najważniejszą osobę w Metrolicie, Sebastiana Silvę, zrozumiał, że musiało chodzić o coś innego. Dał głośniej.

– ...szansy. *Mieszkańcy Metrolitu od dawna czekali na tę inwestycję* – mówił prezydent miasta, stojąc na tle budynku, który Thorn rozpoznał dopiero teraz. Obiekt

Zero. Oczywiście. – *Ostatnie dni przynoszą nam same dobre wiadomości. Wczoraj nasi dzielni oficerowie powstrzymali zło, które szerzyło się w Metrolicie o wiele dłużej niż powinno. Każdy z nas...*

– „O wiele dłużej niż powinno” – powtórzył Cage, krzywiąc się z niechęcią. – To pochwała czy krytyka?

– Jedno i drugie. Znasz tego kutasa, pójdzie z taką narracją, z jaką wygodnie mu będzie iść – mruknął Creed. – Szkoda tylko, że „dzielni oficerowie” muszą dopraszać się tygodniami o każdą pierdołę, podczas gdy on inwestuje miliardy w to gówno. Zupełnie zapomniałem, że dzisiaj otwarcie.

– *...udział jest oczywistością. Dzisiejszy dzień wyznacza szansę na zmianę w jakości życia każdego z nas. Obiekt Zero jest nie tylko największą placówką badawczą w tym mieście, ale i na terenie wszystkich Zjednoczonych Miast. To krok w przyszłość, jaki wykonaliśmy z radością, pomimo krytycznych głosów. Technologia i nauka stanowią gwarancję naszej przyszłości. W tym miejscu pracować będą najlepsi specjaliści, mając dostęp do najnowszego sprzętu oraz odpowiednie zaplecze finansowe, aby przeprowadzać niezależne badania, które...*

– Dlaczego nie wspomni o tym, że większość udziałów posiada on sam? – parsknął pobłaźliwie Creed. – I że zyski z tych „niezależnych badań” będą płynąć do jego kieszeni?

– Dlaczego w ogóle męczymy się z tym chujem? Ktoś powinien dawno wysadzić go ze stanowiska – warknął Cage.

– Ten ktoś musiałby mieć więcej pieniędzy i wpływów od niego. A nikt nie ma więcej pieniędzy i wpływów od Silvy – zauważył trzeźwo Creed.

Thorn popijał kawę, nie mając siły angażować się w tę dyskusję. Miał takie samo zdanie o Silvie jak jego współpracownicy, ale wiedział, że nawet przy zachowaniu wszelkich demokratycznych obostrzeń, Silva zostałby wybrany ponownie. Obywatele Metrolitu generalnie darzyli go niechęcią, ale był to specyficzny rodzaj niechęci – taki, który błyskawicznie ustępował, gdy prezentowano jego dalsze rządy z ich alternatywą, jaką stanowiły rozrastające się wpływy innych miast.

– *...dlatego możemy czuć się dumni i słusznie uznawać ten dzień za początek nowej ery w dziejach Metrolitu.* – Silva uśmiechnął się szeroko. – *Pora zatem oficjalnie*

*ogłosić otwarcie Obiektu Zero. Liczcie razem ze mną! Trzy... – Zgromadzony dookoła tłum zawtórował prezydentowi w odliczaniu. – Dwa... Jeden... ZER...*

Nagle rozległ się donośny huk, który odwrócił uwagę wszystkich zebranych. Thorn zmarszczył brwi, nie mając pojęcia, co się dzieje. Najpierw zwrócił uwagę na Silvē, oglądającego się na budynek z przerażeniem, a dopiero wtedy dostrzegł, że ten zaczyna się zapadać. Rozległy się wrzaski. Ktoś potracił kamerę, która nagrywała całe zdarzenie. Ta upadła na ziemię, nagrywając uciekających w panice ludzi, a zaraz potem zakrył ją pył.

Trójka detektywów siedziała w osłupieniu, obserwując, jak na ekranie pojawia się widok ze studia, a zdeorientowana reporterka usiłuje wytłumaczyć sytuację, wyraźnie nie posiadając jednak wiedzy o tym, co zaszło. Potrzebowali dobrej chwili, by zerwać się z miejsca i opuścić pomieszczenie. Harding spotkała się z nimi na korytarzu. Wyglądała na przerażoną.

– W Obieckie Zero doszło do eksplozji – poinformowała. – Wydział porządkowy i do spraw terroryzmu wysyłają swoich ludzi na miejsce, ale podejrzewam, że przyda im się każda pomoc. Cage, Creed, jedźcie tam i sprawdźcie, czy możecie coś zrobić. – Detektywi skinęli głowami, natychmiast ruszając do wyjścia. – Thorn, ty zostajesz – oznajmiła stanowczo Harding, nim ten zdążył otworzyć usta. – W swoim obecnym stanie więcej przeszkodzisz, niż pomożesz.

Thorn musiał się z nią zgodzić.

Życie jednak nie mogło być proste.

\*\*\*

Thorn siedział w swoim gabinecie, oglądając relacje z miejsca katastrofy. Pomiędzy nagraniami z kamer różnych stacji telewizyjnych, które uchwyciły moment wybuchu, wywiadów ze świadkami i rozmów z „ekspertami”, przebijały się bardziej istotne informacje: Silva został ewakuowany i przebywał w swojej posiadłości, byli ranni, ale póki co żadnych wieści o zabitych, a wybuch spowodowała seria eksplozji na najniższym piętrze Obiektu Zero. Plany budynku nie zawierały niczego, co w przypadku popełnionych w trakcie konstrukcji błędów czy też ewentualnej awarii mogłoby

wywołać tego rodzaju rezultat, a zatem wszystko wskazywało na działanie sił zewnętrznych. Słowa „materiały wybuchowe” oraz „bomba” zaczęły coraz częściej pojawiać się w ustach zarówno dziennikarzy, jak i ich rozmówców.

Nic na podobną skalę nie wydarzyło się dotąd w Metrolicie. Owszem, póki co nie było mowy o ofiarach, co nie zmieniało faktu, że w powietrze wyleciała inwestycja warta miliardy litów, o której głośno było we wszystkich Zjednoczonych Miastach. Media trąbiły o niej od wielu miesięcy – Obiekt Zero był pod szczególną ochroną, jako że od początku budził wiele kontrowersji. Nawet dziennikarze mieli problem, by dostać się na teren trwającej dwa lata budowy, trzeba było specjalnych przepustek i pozwoleń, a i wtedy można było poruszać się dookoła tylko w towarzystwie przedstawicieli Służby Bezpieczeństwa. Wydawało się, że nie istniało bezpieczniejsze miejsce w Metrolicie. Atak na Obiekt Zero stanowił cios w reputację miasta, jakiego nie zadało mu dotąd nic, nawet dziesiątki seryjnych zabójców.

I to sprawiło, że Thorn coś sobie uświadomił.

Przeszedł do głównego pomieszczenia. Znajdowali się w nim Harding oraz Cross, również oglądając wiadomości.

– Gdzie jest Void? – zapytał Thorn.

Harding przeniosła na niego pełne zdumienia spojrzenie, po czym prychnęła z irytacją.

– Kurwa mać, Thorn, połów się w końcu! Nie mam czasu zajmować się twoimi urojeniami! – fuknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi ostatnimi wydarzeniami. – Jest w Departamencie Orłów, a może i dalej, chuj go wie! Jakże to ma znaczenie?!

– Jesteśmy pewni, że tam właśnie jest? – dopytał z powagą Thorn.

Cross, który dotąd nie odrywał wzroku od ekranu, przeniósł na mężczyznę uważne spojrzenie.

– Oczywiście! – warknęła Harding. – Gdzie indziej miałby być?! Sądzisz, że uciekł całej obstawie?! Zresztą nawet gdyby, media już by o tym trąbiły, a my dowiedzielibyśmy się jeszcze wcześniej! Schowaj swoje obsesje i na litość boską, idź spać, zanim doprowadzisz mnie do szału!

– Przypuszczasz, że miał z tym coś wspólnego – zauważył cicho Cross.

Thorn kiwnął głową. Harding spojrzała na nich obu bez zrozumienia.

– Że co?

– Void przywiązuje dużą wagę do liczb – wyjaśnił Thorn. – To część jego planu, czyż nie? Obiecał dwadzieścia cztery zbrodnie. Każda z nich związana była symbolicznie z kolejną liczbą. To było niczym odliczanie, od dwudziestu czterech do jednego. Wczoraj miała być jego ostatnia zbrodnia, kojarzona z jedyką. Dzisiaj wybucha Obiekt Zero. Naprawdę nie dostrzegasz powiązania?

– Sam powiedziałaś, że obiecał dwadzieścia cztery zbrodnie – rzuciła Harding.

– Co nie znaczy, że nie zmienił zdania albo że nie postanowił odejść z hukiem.

Dosłownie.

– Void jest aresztowany, a lada moment wyląduje za kratami! Jeśli tak bardzo w to wątpisz, idź, skontaktuj się z Orłami i zapytaj, ale gwarantuję ci, że wciąż go mają!

– Jeśli w budynku podłożone zostały materiały wybuchowe, sprawca mógł tego dokonać wcześniej – stwierdził Cross, znów patrząc na ekran. Czasem zdawało się, że mówił bardziej do siebie niż kogokolwiek innego. – Nie musiał być fizycznie obecny na miejscu.

– To, co powiedziałaś, oznacza, że mógł to być właściwie każdy – stwierdziła szorstko Harding, podnosząc się z miejsca. – Nie ma żadnego dowodu na to, że Void miał z tym cokolwiek wspólnego, poza wątpliwą symboliką. Thorn, naprawdę nie mam dziś na to cierpliwości! – Podniosła głos, widząc, że detektyw zamierza się odezwać. – Wracam do domu. Jeśli Cage i Creed się pojawią...

W tym momencie usłyszeli trzask frontowych drzwi, wskazujący na to, że ktoś wszedł do bazy. Zdawało się, że Harding będzie miała okazję przekazać polecenie osobiście, ale do głównego pomieszczenia nie weszli Cage i Creed, a kilku oficerów z wydziału porządkowego, spośród których Thorn rozpoznał jedynie ich głównodowodzącego, Archera. To, kogo przyprowadzili ze sobą, zaszokowało wszystkich obecnych.

– Co on tutaj robi?! – wykrzyknęła ze zdumieniem Harding, gdy oficerowie, jak gdyby nigdy nic, wprowadzili skutego Voida do celi, w której ten spędził minioną noc, i zamknęli go w niej.

– Nie odebrałaś wiadomości? – mruknął Archer.

– Jakiej wiadomości?!

– Co się tu, do kurwy nędzy, dzieje?! – warknął Thorn, zbliżając się do głównodowodzącego.

Kątem oka dostrzegł, że na twarzy Voida malował się spokojny uśmiech.

– Kazali nam go przywieźć z powrotem – stwierdził Archer, jak gdyby to nie było oczywiste.

– Dlaczego?!

– Będzie czekał na rozpatrzenie.

– Rozpatrzenie czego, do diabła?! Co z jego procesem?!

– Nie będzie go.

Thorn wbił w mężczyznę pełne zaszokowania spojrzenie. W tym momencie w pomieszczeniu pojawili się także Cage i Creed.

– Hardi... – zaczął Creed, ale umilkł momentalnie, widząc całą sytuację. – Co on tutaj robi? – zapytał bez zrozumienia, patrząc w stronę celi.

Cage dostrzegł więźnia chwilę później.

– Co, do kurwy nędzy?! Archer, co jest, kurwa, grane?!

– Wykonuję polecenia! – wycedził przez zęby Archer, słusznie zirytowany faktem, że cały gniew koncentrował się na nim. – Nie przywlokłem go tu z własnej woli, kazali mi to zrobić!

– Dlaczego nie będzie procesu? – zapytał Thorn. To interesowało go najbardziej.

– Zaraz, co?! – wykrzyknął Cage. – Nie będzie procesu?!

– Dobrze wiesz dlaczego, wszyscy wiecie! – rzucił Archer. – Został wykupiony.

Thorn zaniemówił, czując się tak, jak gdyby ktoś z całej siły przyłożył mu w twarz. Praktyka zwana potocznie „wykupowaniem podejrzanych” nie była oczywiście czymś, co mieściło się w granicach obowiązującego w Metrolicie prawa, ale każdy, kto interesował się wymiarem sprawiedliwości, a zwłaszcza ci, którzy działali w jego ramach, wiedzieli, że dochodziło do takich sytuacji. Najczęściej wykupowano osoby związane z głównym nurtem politycznym, a także członków rodzin takich osób – zwykle chodziło o mniejsze przestępstwa, handel czy użytkowanie nielegalnych substancji albo kradzież, ale zdarzyły się też gwałty i morderstwa. Wykupione osoby nigdy nie stawały przed sądem. Wy tłumaczenie zawsze było jedno – niewystarczające

dowody, co oczywiście zrzucano na błędy po stronie oficerów. Nigdy jednak nie doszło do wykupienia kogoś, kto miał być sądzony za to, co Void.

– To jakaś pomyłka, prawda? – zapytał Creed, marszcząc brwi. – To musi być pomyłka.

– Nie jest. Pytajcie Starego Sępa, ma tu dzisiaj przyjechać.

– Kto wykupiłby takiego skurwiela? – warknął Cage.

– Skąd miałbym wiedzieć?! – obruszył się Archer.

– Zdaję sobie sprawę, jakie wpływy mają te bogate dupki, ale on?! To seryjny zabójca, do kurwy nędzy! Coś takiego nikomu nie ujdzie płazem!

– Nie ja o tym decyduję! – zauważył trzeźwo Archer. – Kurwa, obłazicie mnie jak pierdolone karaluchy! Nie mam z tym nic wspólnego! Zresztą z tego, co wiem, nie puszczą go tak po prostu! Wszczepią mu nadajnik.

– Miał go też ostatnim razem – zauważył Thorn.

To była normalna praktyka – więźniowie, którzy wychodzili na wolność, ale wciąż budzili podejrzenia, mieli wszczepiany pod skórę nadajnik, który monitorował na bieżąco ich położenie. Void miał taki w udzie, przynajmniej póki go nie wyciął.

– Wiesz, co zrobią teraz. Umieszczą go gdzieś w jego bebechach. Jeśli zacznie coś kombinować...

– Oczywiście, że zacznie! – wybuchnął Thorn. – To Void, do diabła! Widziałeś, co zrobił dzisiaj?!

– Thorn – warknęła ostrzegawczo Harding.

– Dzisiaj? – zdumiał się Creed. – O czym ty mówisz?

– O Obiekcie Zero! – oznajmił ku zaszokowaniu przybyłych. – To jego sprawka!

– Mówisz poważnie?!

Thorn zbliżył się do krat i zwrócił się prosto do Voida:

– Co zrobiłeś?

– Hm? – rzucił niewinnie mężczyzna.

– Obiekt Zero! Co tam zrobiłeś?! Nie zgrywaj idioty!

Void zachichotał, przechylając lekko głowę i przyglądając się oficerowi z czymś na kształt rozbawienia.

– To nie byłem ja – oznajmił beznamiętnie.



– Owszem – wycedził przez zęby Thorn. – Owszem, to byłeś ty!

– Thorn!

Void westchnął ze znudzeniem.

– Oficerze, nie mam problemu z przyznaniem się do każdej z moich zbrodni – oznajmił, wzruszając ramionami. – To dla mnie powód do dumy, nie do wstydu. Z Obiektem Zero nie miałem nic wspólnego, choć to bardzo interesujący cel, przyznaję. I mnie przyszedł w pewnym momencie do głowy, ale ja nie zaczynałem swojego odliczania od zera... To ironiczne, prawda? Zero symbolizuje wszak nicość. A ja lubię nicość – stwierdził z podstępny uśmiechem.

– Ty...

– THORN! – Harding chwyciła go za ramię i szarpnęła, odwracając go w swoją stronę. – To nie był on!

– Nie masz pojęcia, co...

– Co się tu, do kurwy nędzy, wyrabia?! – nie mógł zrozumieć Cage.

– Void to zrobił czy nie? – pytał nerwowo Creed.

– O co w ogóle chodzi?!

Panował zupełny chaos.

A jedynym, który doskonale się w nim odnajdywał, był Void.

\*\*\*

– Złapałeś seryjnego mordercę, to naprawdę coś. Nie musisz dodawać sobie do zaszczytów, obwiniając go o kolejną zbrodnię.

– Co to niby ma znaczyć?! – warknął napastliwie Thorn.

– To znaczy, że nie ma żadnego związku pomiędzy Voidem a Obiektem Zero – wytłumaczył swoje słowa Cage. Cały wydział, nie licząc Kita, który na własne szczęście wciąż był w domu, zebrał się w pokoju wspólnym. Rozmawiali, a raczej kłócili się już od dobrej godziny. – Wmawiasz to sobie, chociaż nie masz żadnego powodu, może po to, żeby lepiej się poczuć.

– Pierdol się, Cage – rzucił ostrzegawczo Thorn. – Nie muszę „dodawać sobie do zaszczytów” i nigdy tego nie robiłem, a jeśli sądzisz, że czuję się lepiej ze względu na atak jakiegoś psychopaty...

– Hej, hej, panowie! – odezwał się pojednawczo Creed. – Cage źle dobrał słowa. Chodziło mu o to, że skoro tak długo koncentrowaliśmy się na Voidzie, teraz wszystko nam się z nim kojarzy i widzimy powiązania nawet tam, gdzie ich nie ma.

– Sęk w tym, że tutaj powiązanie jest i to bardziej niż oczywiste.

– Jakie? Zero? – parsknął litościwie Cage.

– Tak, zero! To następna liczba w szeregu! Jego styl działania!

– Zapowiedział dwadzieścia cztery zbrodnie i zrealizował je.

– Ostatniej nie – wtrącił Cross, jak zawsze bez szczególnych emocji.

– Bo ostatnia mu nie wyszła.

– Właśnie, nie wyszła – podkreślił Cage. – Wciąż miał zamiar jej dokonać.

– Albo nas zwieść. Nikt nie powiedział, że będzie kurczowo trzymał się odliczania. Albo chciał zakończyć wszystko w sposób, który zagwarantuje mu wieczną sławę.

– Był aresztowany – przypomniała z irytacją Harding.

– Ustaliliśmy już, że nie musiało go tam być! Mógł to zaplanować wcześniej! Musiał zaplanować to wcześniej, to wydarzenie na wielką skalę – przekonywał Thorn. Wszak Void znany był z ryzykownych, ale i brawurowych przestępstw. Niejednokrotnie udowodnił, iż był w tym mistrzem.

– Nie używał dotąd ładunków wybuchowych – zauważył cicho Cross.

– Zdobycie ich czy kupienie nie jest aż tak dużym problemem.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zapytała bez zrozumienia Harding. – Void to zabójca, a tutaj nikt nie zginął!

– Nie wiemy tego na pewno – stwierdził Thorn.

– To więcej niż prawdopodobne – oznajmił Cross. – Trwa przeszukiwanie gruzów, ale wszyscy, którzy mieli przepustkę, by przebywać na terenie Obiektu Zero zostali znalezieni. Są cali i zdrowi. Dziś odbywała się jedynie oficjalna część otwarcia, przeznaczona dla mediów. Wszelkie prace miały rozpocząć się od jutra.

– Void mógł o tym nie wiedzieć.

– Jeszcze chwilę temu usiłowałeś zrobić z niego istnego geniusza zła – parsknął litościwie Cage. – Jeśli o tym nie wiedział, był kretynem.

– Został złapany. Z tego względu mógł nie mieć możliwości dopilnować wszystkich detali.

– Złapać też dał się jak kretyn.

– Materiały wybuchowe musiał podłożyć ktoś, kto miał przepustkę – oznajmił racjonalnie Cross. – Gdyby doszło do zaginięcia lub kradzieży którejs z nich, prawdopodobnie już byśmy o tym wiedzieli. Póki co, podejrzani są wszyscy, którzy mogli swobodnie poruszać się po budynku, a Void z pewnością nie był jedną z tych osób.

– Void powiedział, że Obiekt Zero go interesował, wszyscy to słyszeliście – rzucił Thorn, wodząc wzrokiem po twarzach zebranych.

– Powiedział też, że tego nie zrobił – przypomniał Cage.

– Wierzysz seryjnemu mordercy na słowo?!

– Kurwa mać, Thorn, czy ty w ogóle siebie słuchasz?!

– To nie ma sensu – stwierdził Creed, wzdychając cicho i pocierając skronie. Był już tym wszystkim zmęczony, zresztą jak i oni wszyscy. Ten dzień dał im się we znaki. Najpierw eksplozja, później powrót Voida... Co jeszcze miało ich czekać? – Jeśli ktoś miałby to zrobić, to pewnie te świry z Kultu Matki, wiesz, że nienawidzą technologii.

– Albo ktoś z innego miasta – dodał Cage. – Obiekt Zero nie był im na rękę.

– Sam Silva zdaje się to sugerować w swoim oświadczeniu – powiedział Cross.

Thorn wiedział, że nie ma szans wygrać tej dyskusji, ani przekonać nikogo do swojego zdania. Nie mógł się temu dziwić, słyszał argumenty swoich współpracowników i dostrzegał ich logiczność, ale instynkt podpowiadał mu, że to nie był przypadek. Przypadkiem nie była symbolika, przypadkiem nie był dzień, kiedy doszło do zbrodni, a już na pewno przypadkiem nie był fakt, że ktoś wykupił dziś Voida. Miał z tym coś wspólnego. To nie budziło u Thorna żadnych wątpliwości.

– Pora skończyć tę rozmowę, bo naprawdę nic z niej nie wynika – oznajmiła z powagą Harding. – Nawet gdybym chciała, żeby ta sprawa trafiła do nas, a nie chcę, nikt nie odda nam jej na bazie tego rodzaju poszlak. Chociaż nie wiem, czy te brednie zasługują nawet na takie miano. Obiektem Zero zajmie się wydział do spraw

terroryzmu. Jeśli znajdą coś, co będzie wskazywało na twoją teorię, Thorn, na pewno dowiemy się jako pierwsi.

Thorn nie protestował dłużej. Czuł, że niepotrzebnie się uniósł i rozegrał tę sytuację gorzej, niż mógł. Kiwnął głową na znak, że rozumie, po czym wymienił z Cage'em porozumiewawcze spojrzenia – w ten sposób obaj komunikowali sobie nawzajem, że wszystko jest pomiędzy nimi w porządku, a wszelkie prowokacyjne słowa padły w ogniu dyskusji i nie miały na celu wszczynania wojny. To nie był pierwszy spór, jaki za sobą mieli.

Wyszedł z pokoju, a następnie ruszył prosto do pomieszczenia głównego, by zastać tam osobę, która w oczach reszty wydziału, ponosiła winę za brak procesu Voida.

Thomas Richter był niespełna sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Pomimo wieku, prezentował się bardzo dobrze – wysoki, wyprostowany, w dobrze skrojonym, szarym garniturze, o gęstych siwych włosach, wyglądał jak człowiek, który posiadał duży autorytet i teoretycznie tak być powinno. Richter był głównym przedstawicielem Departamentu Orłów – instytucji, która stała pomiędzy wydziałami śledczymi a sądem. Jej członkowie, choć nie brali udziału w dochodzeniach, odpowiedzialni byli za oficjalne uznawanie podejrzanych, a po ich schwytaniu, to oni raz jeszcze analizowali zebrane w sprawie dowody i decydowali czy delikwent ma stanąć przed sądem, czy może są one zbyt słabe. Mieli też prawo do wnioskowania o złagodzenie lub zaostrzenie wyroku, co często było brane pod uwagę przez sędziów. Niestety, przez ostatnie lata pogłoski o stronnictwie i wykupywaniu oskarżonych znacznie podkopały wiarygodność departamentu, do tego stopnia, iż prześmiewczo określano go Departamentem Sępów. Sępami nazywano też jego przedstawicieli.

– Witaj, Richter.

– Detektywie Thorn. – Mężczyzna uklonił mu się z szacunkiem.

Gdyby Richter wpadł na kogokolwiek innego, podobne uprzejmości zapewne nie miałyby miejsca. Cały wydział go nie znosił. Cage i Creed uważali Sępa za skorumpowanego drania, który był na smyczy bogatych i jeszcze bardziej skorumpowanych od niego, zaś niechęć Harding wychodziła chyba poza wszelką skalę. Czasem Thornowi wydawało się, że ta wręcz nienawidzi Richtera i prawdopodobnie miała ku temu powody. Plotka głosiła, że Harding, jeszcze w czasie swej kariery w

wydziale kryminalnym, badała jakąś kontrowersyjną zbrodnię. Tropcy doprowadziły ją do dziecka pewnego wpływowego polityka, ale pomimo zebrania przytłaczających dowodów, Departament Orłów zwolnił podejrzanego, a Harding surowo zakazano wypowiadania się o sprawie. Najwyraźniej nie wypowiadały się o niej także media, bo Thorn, zaciekawiony tą pogłoską próbował ustalić, o jaką zbrodnię mogło chodzić, ale nie był w stanie. Pytał też Harding, i to parokrotnie, ale ta zawsze go zbywała. W końcu powiedziała mu, żeby przestał się tym interesować albo ich dobre stosunki się skończą i dopiero wtedy Thorn dał za wygraną.

Tak czy inaczej, Richter pomimo swej pozycji i pieniędzy nie cieszył się popularnością – ani wśród śledczych, ani opinii publicznej. Z pewnością sobie na to zapracował, jednak ilekroć Thorn widział tego człowieka, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Richter był nawet nie tyle marionetką, co po prostu kozłem ofiarnym. Jeszcze parę lat temu wyglądał inaczej – był pewniejszy siebie, często się uśmiechał i lubił występować przed mediami. Ostatnimi czasy zanikał. Cuchnęło od niego papierosami i alkoholem. Miał podkrążone oczy i wydawał się wiecznie znerwicowany. Cage, Creed i Harding widzieli w nim wroga, kapitana obcego statku, który przejął ich łódź i nadawał jej niebezpieczny kurs, prowadząc ich na manowce. Thorn widział w nim człowieka, który został z tej łodzi wypchnięty, a teraz desperacko usiłował utrzymać się na powierzchni, ale z każdym momentem tonął coraz bardziej.

– Domyślam się, iż nie pojawiłeś się tutaj, żeby powiedzieć mi, że jednak będzie sądzony? – zapytał półgłosem Thorn.

Znajdowali się parę metrów od celi. Siedzący na łóżku Void przyglądał im się z chłodnym opanowaniem.

– Nie – odparł Richter. – Sprawa została rozwikłana inaczej. Wszczepimy mu nadajnik.

– To nie wystarczy.

Richter pokiwał głową.

– W tej kwestii zdaje się panować konsensus. Będą dodatkowe obostrzenia.

– Takie, które powstrzymają go przed zabijaniem? – zakpił Thorn.

– Taki jest plan.

– To idiotyczny plan i wiesz o tym.

– Czego ode mnie oczekujesz, detektywie Thorn? – westchnął z ponurą rezygnacją Sęp. – Mam związane ręce i zdajesz sobie z tego sprawę. Zrobię krok w nieodpowiednią stronę, a skończę z niczym. Chcą, aby szedł wolno.

– Kto?

– Ludzie, którzy mają więcej wpływów niż ty i ja. Ta odpowiedź powinna ci wystarczyć.

– Nie wystarcza.

– Przykro mi, bo innej nie mam. Możesz zapytać Voida, kto tak bardzo go kocha – zasugerował niechętnie Richter.

– Jakiś popieprzony fan – prychnął Thorn.

– Zapewne.

Richter zbliżył się do celi.

– Panie Michels... – zaczął.

– Void – przerwał mu natychmiast morderca.

– Void. – Wymówienie tego słowa nie przyszło Richterowi łatwo. – Zgodnie z rozporządzeniem Departamentu Orłów, nie zostaniesz postawiony przed sądem. Nie pójdziesz jednak wolno. W twoim ciele zostanie zainstalowany nadajnik. Możesz wyrazić zgodę lub odmówić, co i tak przyniesie ten sam efekt, spowoduje jedynie, że odbędzie się w tej sprawie głosowanie, co opóźni procedurę o parę dni.

– Nie śmiałybym sprawiać nikomu problemów – rzucił Void, tonem ociekającym drwiną. – Zgadzam się.

– Dobrze. – Richter odetchnął cicho, najwyraźniej uznając, że ma za sobą choć jedną niedogodność. – Ponadto zostanie ci przydzielony oficer, który przez najbliższe osiemnaście miesięcy, będzie sprawował nad tobą całkowity nadzór.

Thorn zdumiał się, słysząc te słowa. Na twarzy Voida również wymalowało się zdziwienie, ale ten zareagował bardzo szybko:

– Oczywiście, panie Richter. Czy mogę coś zasugerować? Czyż nie byłoby najbardziej adekwatnie, gdyby oficerem, który się mną zajmie, był ten, który mnie schwycił?

To zaskoczyło Thorna jeszcze bardziej.

– Nie przedstawię tego wniosku – zaproponował stanowczo Richter, posyłając Voidowi lodowate spojrzenie. – Puszczanie cię z osobą, która odpowiada za twoje aresztowanie, narażałoby jej życie. Puszczanie cię z kimkolwiek stanowi narażenie życia, ale w takich okolicznościach szczególnie.

Thorn wiedział, z czego wynikają słowa mężczyzny, ale po chwili zastanowienia chwycił go delikatnie za ramię i odciągnął dalej, by ich rozmowa nie została usłyszana przez więźnia.

– Przydziel go mnie – oznajmił szeptem.

Richter spojrział na niego bez zrozumienia i pokręcił głową.

– To nierozsądne.

– Wiem, ale wbrew pozorom ma sens. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Pozwolę sobie mieć inne zdanie, detektywie. Moje doświadczenie z seryjnymi zabójcami wskazuje na to, że nikt tak naprawdę ich nie zna.

– Owszem – przyznał Thorn. – Nigdy nie powiem, że znam Voida całkowicie, co nie zmienia faktu, że nadal wiem o nim więcej niż inni. Może ja nie będę z nim bezpieczny, za to cała reszta Metrolitu będzie bezpieczniejsza, póki on będzie ze mną.

Richter milczał przez chwilę, zastanawiając się nad takim rozwiązaniem.

– Wiem, dlaczego ci na tym zależy, detektywie – odezwał się w końcu. – Słyszałem o twoich podejrzeniach co do udziału Voida w zamachu na Obiekt Zero.

– Wierzę, że on za tym stoi.

– Wątpliwe.

– Jeśli mam rację, mając go blisko, będę mógł znaleźć na to dowody. Jeśli nie, miasto i tak będzie mogło spać spokojnie.

– Ostatnimi czasy nikt nie śpi spokojnie i prędko się to nie zmieni – oznajmił grobowo Richter. – Jeśli jesteś pewien swojej decyzji, nie będę oponował. Podejrzałem, że ciężko mi będzie znaleźć chętnego. To ułatwia sprawę, chociaż wzmaga we mnie obawy.

– Co powinienem wiedzieć? – zapytał Thorn. – Mam z nim spędzić osiemnaście miesięcy? – To nie brzmiało jak coś wykonalnego. W takim czasie zapewne albo on skończyłby martwy, albo Void.

– Oczywiście, że nie. Stosowaliśmy już tę metodę, choć przy mniejszym... kalibrze zbrodni. Po miesiącu czy dwóch możesz złożyć wniosek o zmianę oficera nadzorującego, na pewno zostanie rozpatrzony pozytywnie.

– Na czym dokładnie polega to „nadzorowanie”?

– Wszystkie zasady zostaną przedstawione na piśmie, zarówno tobie, jak i jemu, ale ogólnie rzecz ujmując, Void jest zdany na ciebie. Sygnał z jego nadajnika będzie trafiał nie tylko do Służby Bezpieczeństwa, ale i bezpośrednio do ciebie. Wybierzesz mu miejsce, w którym będzie pomieszkiwał. Oczywiście środki na opłacenie zakwaterowania, a także wyżywienia i dodatkowych kosztów otrzymasz z budżetu Departamentu Orłów. Masz nad nim kontrolę. Nie musi ci wszędzie towarzyszyć, ale może, jeśli wyrazisz takie życzenie. Możesz nakazać mu pozostanie w jakimś pomieszczeniu. Ma prawo poruszać się swobodnie w jego obrębie, ale dopóki po niego nie wrócisz, nie może go samowolnie opuścić. Rzecz jasna nie możesz nakazać mu gdzieś zostać i przetrzymywać go tam, zwłaszcza bez środków do życia.

– To oczywiste.

Richter zaśmiał się cicho.

– Z pewnością nie dla wszystkich, ale to, że tak twierdzisz, sprawia, że zaczynam wierzyć w słuszność tego wyboru.

– A co jeśli on zignoruje moje polecenia?

– Nie ma takiego prawa.

Thorn przewrócił oczyma. Jak gdyby Voida to obchodziło.

– Co jeśli to zrobi?

– Wszelkie naruszenia zasad zgłaszaj bezpośrednio mnie.

– A jakie będą efekty tych zgłoszeń? Kolejne zwolnienie od procesu? – zakpił Thorn.

Richter przymknął na moment powieki, po czym wziął głęboki oddech i oznajmił:

– Robię co w mojej mocy, dobrze? Dopiero co schwytaliśmy Voida, prasa ledwie zdążyła napisać o waszym sukcesie, a już mamy na rękach kolejną porażkę. To miasto to istny przyłodek śmierci.

– I szaleńców – wtrącił Thorn.



Richter uśmiechnął się ponuro.  
– Szaleńców niosących śmierć.

# I

O ile wczorajszy dzień zdawał się być niosącym ulgę snem, o tyle dzisiejszy był czystym koszmarem, a do Thorna coraz bardziej docierało, iż nieprędko przyjdzie mu się obudzić.

Po tym, jak Richter przedstawił zaistniałą sytuację Harding (a ta zareagowała tak, jak można było się spodziewać – złością i pretensjami), członkowie Służby Bezpieczeństwa pojawili się ponownie, by zabrać Voida do oficerskiej kliniki. Ten wrócił z niej niecałe dwie godziny później, z niewielką blizną po laserze nad prawym biodrem i zaleceniem odpoczynku. Wtedy przyszła pora na formalności – Thorn zapoznał się z całością zasad i zadeklarował na piśmie, iż zobowiązuje się do nadzoru podejrzanego. Wszyscy dookoła mieli takie miny, jak gdyby podpisywał na siebie wyrok śmierci i sam też zaczynał się tak czuć, ale ani myślał się wycofywać. Decyzja zapadła.

W bazie panowała napięta atmosfera. Pomiędzy gniewem a irytacją, nakierowaną na Richtera, Sępów i każdego, kto choćby w najmniejszym stopniu maczał palce w całym zajściu, przebijała się przede wszystkim troska. Thorn dostrzegał ją w spojrzeniach współpracowników, lecz z drugiej strony widział w nich także ulgę – gdyby nie zgłosił się na ochotnika, mogłoby paść na każdego z nich, choć zapewne wybrano by kogoś mniej związanego ze sprawą. Creed podziękował mu półgłosem i wyraził niepokój, a Cage dopytywał, czy jest pewien i podkreślał, że zrobił już wystarczająco wiele. Gdy Thorn opuszczał budynek w towarzystwie Voida, wszyscy żegnali się z nim w taki sposób, jak gdyby obawiali się, że widzą go po raz ostatni.

Kilkanaście minut później, kiedy przemierzał samochodem neonowe ulice Metrolitu i jego dopadł grobowy nastrój. Zrobił to, czego od niego oczekiwano – złapał seryjnego zabójcę. Zbyt późno, wiedział o tym, zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele zbrodni zostało popełnionych przez niego i w jego imieniu, ale mimo wszystko, Thorn wykonał swoje zadanie. Nie oczekiwał w zamian pochwał czy komplementów, nie pragnął sławy, życzył sobie jedynie poczuć znowu, że wszystko jest na swoim miejscu, że sprawiedliwość została wymierzona.

Niestety rzeczywistość, jaką znał, pękała w szwach, a „sprawiedliwość” Metrolitu miała oblicze bestii, która siedziała obok niego – chłodna, milcząca, wyglądająca przez szybę, niesprawiająca wrażenia ani szczęśliwej, ani zirytowanej, po prostu obojętna. I ta obojętność doskwierała Thornowi w równym stopniu, jak i samo towarzystwo Voida. Nie mógł uwierzyć, że po tych wszystkich latach, gdy odbijając się od przeszłości, budował swoją tożsamość, znowu znajdował się z nim. Nie istniało chyba nic bardziej ironicznego pod słońcem.

Zatrzymał się pod hotelem, który przez ostatnie półtora roku stanowił jego dom. Pensje oficerów były całkiem przyzwoite, zwłaszcza tych ze specjalnych wydziałów, więc mógłby sobie pozwolić nie tylko na mieszkanie, ale i sporą posiadłość, jednak zarobek wolał przeznaczyć na coś innego. Przed kilkudziesięcioma laty, po tym, jak cały Metrolit tonął w korkach, wydano zarządzenie, zgodnie z którym samochody przestawały stanowić osobistą własność każdego obywatela – zamiast tego stały się własnością miasta. Prawo do posiadania pojazdów na wyłączność przysługiwało wyłącznie wysoko postawionym urzędnikom. Cała reszta obywateli zmuszona była poruszać się komunikacją miejską lub co miesiąc płacić za wynajem pojazdu. Ceny były tak wysokie, że poruszanie się samochodem stanowiło luksus, na który nie mogła sobie pozwolić większość mieszkańców. Co prawda Thorn, jako członek służby oficerskiej, dostałby służbowe auto, ale nie chciał jeździć byle rzęchem. Wolał raz po raz wykupywać zezwolenia na wybrany przez siebie pojazd, szybki, z aktualną nawigacją i wszelkimi udogodnieniami – nie był to byle kaprys, ten samochód stanowił narzędzie jego pracy.

Mieszkanie nie było mu potrzebne. Nie miałby go z kim dzielić, a nawet kawalerka nie miała sensu, gdy nie czyniło się żadnego użytku z kuchni i wracało na miejsce głównie po to, by spać. Hotel stanowił idealne rozwiązanie – był kosztowny, ale nie przesadnie, w zamian zapewniając przestronny pokój z łazienką, spokojne warunki, prywatność (dziennikarze nie mieli tam wstępu, a tych Thorn unikał ostatnimi czasy jak ognia) oraz dobre jedzenie, serwowane w niewielkiej restauracji na parterze. A teraz, do tego prawdziwie uroczego repertuaru, dochodziła obecność seryjnego zabójcy.

Thorn wynajął drugi pokój na swoje nazwisko. Zależało mu na tym, by Void znajdował się jak najbliżej, więc poczuł ulgę, gdy okazało się, że ten będzie tuż za ścianą. Wprowadził go do pomieszczenia.

– To tutaj będę mieszkał? – zapytał bezbarwnym głosem mężczyzna, rozglądając się dookoła wzrokiem pozbawionym zainteresowania.

– Prawdopodobnie – uciął Thorn, nie mając ochoty niczego deklarować, ani w ogóle z nim rozmawiać. – Połóż się na łóżku.

Void obejrzał się na niego ze zdumieniem, po czym uśmiechnął się złośliwie.

– Panie oficerze, to nie brzmi jak stosowna propozycja. Wszak ledwie się znamy...

– Nie zamierzam się powtarzać – rzucił szorstko Thorn.

Void zmrużył oczy, przyglądając mu się badawczo. Przez moment detektyw sądził, że ten nie spełni jego polecenia (bo i nic go do tego nie zobowiązywało), ale zaraz mężczyzna ułożył się posłusznie na świeżej pościeli. Wtedy Thorn wyjął kajdanki. Zakuł w nie prawy nadgarstek Voida i, nim ten zdążył zareagować, przykuł go do ramy łóżka.

– Co pan robi, panie oficerze? – zapytał Void, z opanowaniem, które nie pasowało do kogoś pozbawianego swobody.

– Upewniam się, że spędzisz noc w tym właśnie miejscu.

– Obawiam się, że coś się nie zgadza – oznajmił spokojnie Void, patrząc na niego swymi mglistymi oczyma. – Nie jestem więźniem. Znam przepisy dotyczące specjalnego nadzoru, nie dopuszczają one możliwości pozbawiania mnie wolności, która została mi wszak zwrócona, choć w ograniczonym stopniu.

– Ja również je znam. Znam też ciebie i nie zamierzam ryzykować twojej ucieczki, a co za tym idzie krzywdy innych ludzi – odrzekł szorstko Thorn. – Poza tym jesteś podejrzanym w sprawie.

– Już nie. Nie zostanę postawiony przed sądem, przynajmniej w ciągu najbliższych osiemnastu miesięcy.

– Mówię o Obiekcie Zero – wyjaśnił Thorn, przyglądając się twarzy mężczyzny z uwagą, ciekaw, czy pojawi się na niej coś, co jeszcze bardziej pozwoli mu powiązać Voida z eksplozją.

– Nie przypominam sobie, aby nadano mi w tej sprawie taki status – odparł jedynie Void, uśmiechając się nikle.

– Ja ci go nadałem.

Void zmierzył go pełnym politowania spojrzeniem.

– Przykro mi, ale to tak nie działa, oficerze. – Jego niespieszne, pozornie uprzejme słowa, ociekały wzdargą. – Abyś został uznany za podejrzanego, musiałbyś przedstawić odpowiednie dowody Departamentowi Orłów. Dowody, których, zdaje mi się, nie posiadasz, więc o czym właściwie mówimy?

– Zdobycie dowodów to kwestia czasu. Poza tym nie ma też dowodu na to, iż nie uczestniczyłeś w zamachu.

Void westchnął z przesadnym dramatyzmem.

– Oficerze Thorn, nawet nie masz pojęcia, jak strasznie mnie rozczarowujesz. Zbieranie dowodów leży po twojej stronie.

– I znajdę je, uwierz mi – zapewnił Thorn. – Pierwsza poszlaka jest oczywista. Dwadzieścia cztery zbrodnie. Odliczałeś od dwudziestu czterech do jednego, a przynajmniej wszyscy tak sądziliśmy. Schwytałem cię przed twoim ostatnim przestępstwem, ale może miałeś bardziej wybuchowy plan. Może po jedyńce miało jeszcze paść zero – dodał wymownie, patrząc wprost w chłodne, przepelnione obojętnością oczy Voida. – Wybrałeś sobie idealny obiekt. Bomby rozmieściłeś wcześniej, zaplanowałeś eksplozję, która miała nastąpić po twoim wcześniejszym sukcesie i przypieczętować wszystko, ale nie przewidziałeś, że zostaniesz schwytany. Dlatego kolejność została zaburzona. Dlatego zero nadeszło po dwójce.

– Nie zrobiłbym czegoś tak lekkomyślnego.

– Już zrobiłeś – oznajmił Thorn, po czym ruszył do wyjścia, ale zatrzymał go głos mężczyzny:

– Jak wiele osób zginęło, oficerze?

Odwrócił się w stronę mordercy.

– Słucham?

– W eksplozji – wyjaśnił Void, przyglądając mu się z uwagą.

– Nie było ofiar – odrzekł Thorn, zgodnie ze swoim stanem wiedzy.

– Doprawdy? – Void zdumiał się, lecz było to zdumienie tak ostentacyjne, że wręcz teatralne. – A zatem Obiekt Zero i zero ofiar... Brzmi jak ostrzeżenie, być może manifestacja, ale nie brawurowy koniec trwającego parę lat planu, czyż nie? Bo pamiętasz, oficerze, że ja zabijałem, a nie wysadzałem budynki – dodał pobłaźliwie, z kwaśnym uśmiechem. – Swoją drogą, jak mógłbym dopilnować tego, by nikt się tam nie znajdował, skoro przebywałem w areszcie?

– Dlaczego miałbyś tego pilnować? – zapytał bez zrozumienia Thorn.

– Po to, aby nie było ofiar.

– A dlaczego miałyby ich nie być? Jak sam raczyłeś przypomnieć, zajmowałeś się zabijaniem ludzi, a zatem zakończenie „kariery” bezkrwawym zamachem nie może być satysfakcjonujące dla takiego psychopaty. – Void zaśmiał się cicho w reakcji na to określenie. – Coś poszło niezgodnie z twoim planem. Tym czymś było prawdopodobnie twoje aresztowanie. Zostałeś zatrzymany, nie dopilnowałeś sprawy i nie wyszło tak, jak tego chciałeś.

Im dłużej mówił, tym bardziej wzrok Voida stawał się pusty i pozbawiony wyrazu. Gdy skończył, ten wpatrywał się w niego tak, jak gdyby Thorn był jakimś nieistotnym elementem, zagracającym jego przestrzeń.

– Zastanawiam się, oficerze, jak udało ci się mnie złapać, skoro tak kiepsko mnie znasz – mruknął.

Thorn uznał to za dobry moment do zakończenia rozmowy. Odwrócił się, ale ledwie położył dłoń na klamce, Void odezwał się ponownie:

– Co jeśli zechce mi się pójść do łazienki?

– Rano cię rozkuję.

– Co jeśli zechce mi się w nocy?

– To rano po sobie posprzątasz – odparł chłodno Thorn, po czym opuścił pomieszczenie.

Gdy tylko znalazł się na korytarzu i spostrzegł swoje drżące dłonie, uświadomił sobie, do jakiego stopnia wstrząsnęła nim ta parominutowa, pozornie niewiele znacząca rozmowa. Nie powinno tak być. Nic, co się dzisiaj wydarzyło, „nie powinno być”.

Naprzeciwko jego pokoju stał automat z papierosami. Thorn rzucił uciążliwy nałóg pięć lat temu i chociaż ta maszyna niejednokrotnie wzmagala w nim tęsknotę za

nikotyną, przechodził obok niej dumnie, raz po raz walcząc z pokusą. Nie dziś. Odliczył sześć litów i kupił najtańszą paczkę fajek, a następnie wszedł do wynajętego przez siebie pomieszczenia.

Był zmęczony i niespokojny zarazem. Czuł się tak, jak gdyby nie przespawszy paru nocy, przesadził z ilością kawy – jego serce waliło jak oszalałe, a ciało było pobudzone, pomimo zamglonego umysłu oraz pędzących donikąd myśli. W pierwszej kolejności wyciągnął swój telefon i natychmiast otworzył program, który pozwalał mu śledzić na bieżąco lokalizację Voida. Nie żeby musiał to robić, wszak Void nie miał szans uwolnić się samodzielnie. Ponadto, gdyby jakimś cudem mu się udało i wpadłby na szaleńczy pomysł pozbycia się nadajnika, Thorn od razu by o tym wiedział. Nie znał szczegółów, ale z tego, co tłumaczył mu Richter, wszczepiony zabójcy nadajnik podłączony był bezpośrednio do któregoś z jego wewnętrznych narządów – jakiegokolwiek przerwanie tej łączności byłoby nie tylko zagrożeniem życia Voida, ale przede wszystkim uruchomiłoby alarm, zarówno w telefonie Thorna, jak i w przekaźniku zlokalizowanym w siedzibie Służby Bezpieczeństwa. Co by nie mówić o absurdalności całej tej sytuacji, Richter miał rację – zastosowane obostrzenia uniemożliwiały Voidowi skuteczną ucieczkę.

Thorn otworzył okno, a następnie przysiadł na parapecie. Telefon położył przed sobą, by co jakiś czas zerkać na migający, opisany koordynatami punkt, który wskazywał położenie Voida. To nie miało sensu, ale go uspokajało. Walczył przez moment ze swoimi oporami, po czym wyjął i odpalił papierosa. Zaciągnął się nim, a następnie wypuścił dym z ust, obserwując, jak ten kłębi się tuż przed nim. Nie robił tego od tak dawna, że charakterystyczny posmak zdawał się niemal abstrakcyjnym doznaniem. Poczł mrowienie na powierzchni skóry. Nie potrafił sobie przypomnieć, by cokolwiek w ostatnim czasie dało mu tyle przyjemności, ile ten papieros.

Był zmęczony. Obserwował mieniące się kolorami neonów ulice, czując, jak jego powieki mimowolnie opadają. Przez ostatnie tygodnie miasto nie pozwalało mu zasnąć i chyba nieprędko miało się to zmienić. Gdy wznosił oczy ku pełnemu gwiazd niebu, przez jego znużony umysł przemykało się tylko jedno pytanie.

Dlaczego go wypuszczono?

Thorn nie potrafił sobie wyobrazić, by komukolwiek mogło na tym zależeć. Void stanowił skazę na wizerunku Metrolitu, niewiele mniejszą od fiaska Obiektu Zero. Nie tylko mordował z zimną krwią, ale i inspirował do tego innych – odkąd zaczął działać, ilość przestępstw w Metrolicie drastycznie wzrosła. Pojawiało się coraz więcej osób, które chciały iść w jego ślady. Rosło poczucie bezkarności oraz frustracji względem służb bezpieczeństwa. Puszczanie go bez procesu, niemalże wolno, stanowiło cios w reputację wydziału Thornia oraz kolejny argument na to, iż Departament Orłów nie był niezależny, a działał z polecenia wpływowych ludzi. Tylko jaki wpływowy człowiek zdecydowałby się na puszczenie bez procesu kogoś tak niebezpiecznego?

Thorn mógłby ulec retoryce Silvy i zrzucić wszystko na działanie sił zewnętrznych, tyle że „siły zewnętrzne” nie znajdowały się pośród ich warstwy rządzącej. Mieli terrorystów z innych miast, protestujących, wizytatorów, szpiegów, ale nie istniał żaden dowód na to, by ktoś obcy przeniknął do szczytów władzy Metrolitu, bowiem te szczyty od lat pozostawały niezmiennie.

Więc kto za tym stał? Jakie miał motywy? Jaki krył się w tym sens? Dlaczego nie doprowadzono do procesu? Dlaczego nie skazano go oficjalnie i nie wypuszczono po cichu, jak ostatnim razem? Dlaczego teraz? Dlaczego dzisiaj? To nie był przypadek, prawda?

Osoba, która mogła znać odpowiedzi na część z tych pytań, znajdowała się tuż za ścianą, ale Thorn nie spodziewał się usłyszeć od niej niczego wiarygodnego.

Skończył papierosa i już sięgał po kolejnego, gdy skarcił się za to w myślach. Nie po to włożył tak wiele wysiłku w to, by z tym skończyć, by teraz zaczynać od nowa. Z ciężkim westchnieniem podniósł się z parapetu. Zerknął ukradkiem w stronę zabezpieczonej elektronicznym zamkiem szafki. Powinien tam zajrzeć i zapoznać się ze wszystkim raz jeszcze. Być może znajdowała się tam jakaś wskazówka co do obecnego stanu rzeczy. Korciło go, by przysiąść nad tym teraz, ale szybko uświadomił sobie, iż po paru minutach przestałby rozumieć, co czyta i ogląda. Czuł się fatalnie.

Opuścił hotel, a następnie zaszedł na jego tyły. Tam zamierzał wyrzucić paczkę papierosów. Mógłby to zrobić u siebie czy na korytarzu, jednak czuł na tyle wielką chęć, by palić dalej, że potrafił sobie wyobrazić, jak godząc się na absolutny upadek swojej



godności, zaczyna grzebać w śmietniku. To było najlepsze rozwiązanie, nie był wszak aż takim desperatem, by nurkować w olbrzymim kontenerze.

Znowu dopadła go słabość. Zawahał się, nim wyrzucił fajki i po chwili zastanowienia, zdecydował się odpalić jeszcze jedną, a później kolejną, i znowu... Usiadł przy ścianie budynku i, czując, jak jego umysł stopniowo się wyłącza, pochłonął pół paczki, nim wreszcie zmobilizował się do tego, by podnieść się z ziemi i wyrzucić resztę rozkosznej trucizny.

Co za beznadziejny dzień.

Wrócił do swojego pokoju i od razu zerknął na wyświetlacz telefonu. Void był na swoim miejscu, ale najwyraźniej coś innego musiało nie grać, bo Cage usiłował się do niego dodzwonić jakieś piętnaście razy. Połączył się z nim.

– Co jest?

– Kurwa, Thorn, czego nie odbierasz? – skarcił go Cage.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Thorn. Limit złych wieści, jakie był dziś w stanie przyjąć, został przekroczony, więc naprawdę czuł przerażenie, że znowu coś się spieprzyło.

– Zbieramy się, żeby do ciebie przyjechać, to się dzieje.

Thorn uniósł brew.

– Dlaczego?

– Bo nie odbierasz pierdolonego telefonu!

– I to jest problem, ponieważ...?

– ... odjechałeś stąd w towarzystwie seryjnego zabójcy?

Teraz rozumiał.

– Wyszedłem zapalić, nie było mnie góra pół godziny – stwierdził.

– Długie milczenie plus psychopata. Sam chyba widzisz, jak to wygląda.

– Wszystko jest pod kontrolą – zapewnił Thorn, nieco rozbawiony. – Void jest w pokoju obok, skuty kajdankami.

Cage zagwizdał.

– Perwersyjnie!

Thorn parsknął cicho. Usłyszał czyjś stłumiony głos, a zaraz po nim zapewnienie Cage'a:

– Wszystko okej, dzieciaku.

– Masz tam Kita? – zdziwił się Thorn.

– No. W sumie ciągle myślę, że możemy się do ciebie wybrać. Nie bardzo mamy co ze sobą zrobić, a Harding tylko na wszystkich warczy. Kupię jakiś alkohol, przepijemy noc, powkurwiamy Voida...

– Ja nie piję – wtrącił nieśmiało Kit.

– Cicho, dzieciaku. Życia nie znasz.

Thorn zaśmiał się ochryple. Jego samopoczucie zaczęło się poprawiać.

– Dzięki za propozycję, Cage, ale muszę się w końcu położyć.

– I wziąć prysznic – przypomniał łaskawie Cage.

– Właśnie. Zobaczymy się jutro czy pojutrze, co?

– Jasna sprawa. Wypoczywaj.

– Dzięki. Ty też.

Gdy wszystko dookoła spowijał mrok, należało się cieszyć drobnymi przebłyskami światła.

\*\*\*

Dobrze, że wczoraj miał jeszcze na tyle rozumu, by nastawić sobie budzik, bo w przeciwnym wypadku Void pewnie leżałby skuty do wieczora. Thorn obudził się w nikłym stanie przytomności, łaknąc większej dawki snu lub alternatywnie, mocnej kawy i papierosa. Zepchnął te myśli na dalszy plan i szybko doprowadził się do porządku. Nie żeby gdziekolwiek mu się spieszyło. Bezradność Voida nie budziła w nim współczucia, jednak szybko doszedł do wniosku, że zdając brudną pościel, mógłby mieć lekki problem z wytłumaczeniem, co zaszło.

Przeszedł do pokoju, w którym znajdował się jego tymczasowy więzień. Void nie spał – albo już, albo wcale, trudno było stwierdzić. Powitał Thorną chłodnym spojrzeniem i pozornie pozbawioną emocji twarzą. Detektyw, w swej młodości, nauczył się widzieć więcej, niż ten był skory okazać, więc dostrzegał kryjącą się za tą maską irytację.

– Widzę, że łóżko jest czyste – rzucił Thorn, nie mogąc powstrzymać się od drobnej złośliwości. – Gratuluję.

Tak, Void był zdecydowanie rozdrażniony. Posłał Thornowi takie spojrzenie, jak gdyby ten był karaluchem, pętającym się pod jego stopami, ale gdy się odezwał, uczynił to z pełnym opanowaniem:

– Chciałbym skorzystać z łazienki.

– Wiem – odparł Thorn, po czym otworzył drzwi do mniejszego pomieszczenia i wszedł do środka.

– Co ty właściwie wyrabiasz?

Thorn zignorował pytanie i zaczął przeszukiwać łazienkę. Była dobrze wyposażona – wyniósł z niej dwie pary cążek, trzy pary różnych wielkości nożyczek, pęsetę, elektryczną maszynkę, zestaw wsuwek, dwa płyny do czyszczenia, których opakowania alarmowały o zagrożeniu dla zdrowia w przypadku spożycia oraz masę innych specyfików i przedmiotów, które uznał za potencjalnie niebezpieczne. W łazience znajdowało się też niewielkie okno, ale po chwili zastanowienia Thorn doszedł do wniosku, że zabicie go deskami nie mieściłoby się raczej w ramach akceptowalnych przez hotel „drobnych udogodnień”.

Gdy pomieszczenie zdawało się względnie bezpieczne, wrócił do pokoju, by rozkuć Voida.

– Aż tak niepokoisz się o swoje życie, oficerze? – zapytał pobłażliwie mężczyzna, gdy zdejmowano mu kajdanki.

– O swoje nie niepokoję się wcale, ale odpowiadam za inne – odrzekł Thorn.

– I co? Wydaje ci się, że przemycę nożyczki w spodniach i gdy nadarzy się okazja, poderżnę komuś gardło czy wydlubię oczy? To nudne i przewidywalne, oficerze. Nie w moim stylu.

– Jak i bomby. – Thorn przypomniał słowa zabójcy.

– Właśnie – podkreślił Void, podnosząc się z łóżka i masując zdrętwiałą rękę.

– Masz dziesięć minut. Jeśli będziesz coś kombinował lub się guzdrał, wejdę tam po ciebie – przestrzegł Thorn.

– Pryszyć zwykle zajmuje mi więcej niż dziesięć minut, oficerze, ale jeśli potrzebujesz wymówki, by zobaczyć mnie nago, zapraszam.

Thorn zaniemówił, niewątpliwie dając Voidowi moment satysfakcji.

Obyło się bez podobnych działań. Co prawda Void siedział w łazience jakiś kwadrans, ale Thorn czekał na zewnątrz. Nie musiał. Powtarzał sobie w myślach, że przecież Void miał nadajnik, że wiedziałby, gdyby coś kombinował i widziałby, gdyby próbował uciec, a jednak nie potrafił poskromić niepokoju. Miał nadzieję, że była to kwestia przyzwyczajenia, bo nie tak chciał spędzać kolejne poranki.

Po wszystkim Thorn zaprowadził Voida do mieszczącej się na parterze restauracji. Dopiero gdy usiedli przy jednym ze stolików, do detektywa dotarło, że właśnie wprowadził znanego przez wszystkich seryjnego zabójcę do pomieszczenia pełnego ludzi. Tym razem to nie o ich bezpieczeństwo się obawiał. Co prawda nie było tu tłumów, ale śniadanie jadło akurat paru gości, a dookoła krążyli pracownicy.

Wbrew przypuszczeniom detektywa, nikt nie zwracał na jego towarzysza większej uwagi. Thorn szybko uświadomił sobie dlaczego. Niebieskie włosy nie stanowiły znaku rozpoznawczego – wiele osób, zwłaszcza młodych, farbowało się na przeróżne kolory, a biorąc pod uwagę obsesję Voidem, na ulicy roiło się od błękitnych łbów. O Voidzie mówiono wszędzie i nieustannie pokazywano jego zdjęcia, tyle że te pochodziły sprzed paru lat – z jego pierwszego aresztowania, a później nagrania w stacji telewizyjnej. Wtedy wciąż wyglądał bardziej chłopięco niż męsko, nic więc dziwnego, że tak szybko stał się idolem dziewcząt, którym robiło się mokro na widok ładnej twarzy. Sęk w tym, że wiele się od tamtego czasu zmieniło.

– Śniadania też będziemy ze sobą jadać? – zapytał litościwie Void.

– Nie zamierzam spuszczać cię z oka – oznajmił surowo Thorn. – Mam nadzieję, że to dla ciebie jasne.

– Witam, panie oficerze.

Do stolika z promiennym uśmiechem podeszła Rose, ciemnowłosa, pulchna kelnerka, która pracowała tu, odkąd Thorn wynajął sobie pokój. Lubił ją. Do tego stopnia, że parę razy zastanawiał się nad zaproponowaniem jej wspólnego wyjścia, ale w tych kwestiach był absolutnie beznadziejny. Za dużo myślał i zawsze dochodził do wniosku, że nie ma czasu na podobne relacje. Tak czy inaczej, jeśli ona nie uciekała na widok jego towarzysza z krzykiem, chyba mieli szansę ukryć miejsce pobytu zabójcy na dłużej.

– Dzień dobry. – Thorn powitał ją uśmiechem. – Dla mnie to co zwykle. Dla niego coś do jedzenia i picia.

– Co konkretnie? – dopytała Rose.

– Jakieś naleśniki i sok – odpowiedział Thorn, nim Void zdążył otworzyć usta. Ani myślał spełniać zachcianek psychopaty czy choćby brać je pod uwagę.

Kobieta kiwnęła głową i uśmiechnąwszy się do detektywa raz jeszcze, ruszyła na zaplecze.

– „To co zwykle”? – powtórzył z zainteresowaniem Void, przyglądając się Thornowi badawczo. – Często tu jadasz?

Thorn zignorował to pytanie i spojrzał na wiszący w rogu pomieszczenia ekran, na którym znajdował się właśnie nikt inny, jak sam Głos Metrolitu.

Tym mianem określany był William Grant – najbardziej znany dziennikarz w mieście oraz właściciel odnoszącej sukcesy stacji informacyjnej WMC. Grant zaczął zyskiwać popularność lata temu, mniej więcej w czasie, w którym Thorn został oficerem. Pamiętał, że darzył wtedy Granta szacunkiem – był dobry w swoim fachu, nieskorpumpowany, nie bał się zadawać niewygodnych pytań oraz wyciągać na jaw informacji, które narażały go na nieprzychylność władz. To postępowanie doprowadziło do jego zwolnienia z jednej z czołowych stacji i sprawiło, że zdecydował się założyć własną. WMC długo nie zyskiwało zainteresowania publiki. Sytuacja uległa zmianie, gdy po krwawym mordzie w studiu Metrolitu<sup>24</sup>, WMC wykupiło licencję do nadawania w porze nocnej. Od tamtej pory trąbili o Voidzie nieustannie. Do stacji przeniosło się wielu innych, znamienitych dziennikarzy i ta zaczęła zdobywać rozgłos do tego stopnia, że teraz była najczęściej oglądanym kanałem informacyjnym, jej szef został mianowany Głosem Metrolitu, a prowadzone przez niego programy, „Godzina polityczna” oraz „Bez pardonu”, były rekordy oglądalności.

Thorn nie przepadał za Grantem. Podłoże tej niechęci nie było dla niego jasne, pozostawało raczej w sferze odczuć niż faktów, bo Grant wciąż był dobrym dziennikarzem, niebojącym się prawdy. Być może chodziło o to, że Grant niejednokrotnie wylewał pomyje na Oficerów Metrolitu, w tym także na wydział Thorna, a okazjonalnie i niego osobiście. Być może raziło go jego ostentacyjne prezentowanie się jako ostatniego sprawiedliwego w mieście. A może chodziło po

prostu o to, że bardziej od bycia dziennikarzem, Grant zdawał się preferować bycie celebrytą – miał zresztą do tego wszelkie predyspozycje, był bardzo przystojnym i zadbanym mężczyzną, choć Thorn mógłby przysiąc, że jeszcze parę lat temu jego twarz wyglądała odrobinę inaczej. Tak czy inaczej, większość miasta nie podzielała jego niechęci. Głos Metrolitu był uwielbiany przez publikę.

– *Jak mamy czuć się bezpieczni w naszym mieście, skoro prezydent nie jest w stanie upilnować czegoś tak istotnego?* – Grant maltretował właśnie swojego gościa. Odtwarzające się w tle nagrania jasno wskazywały na to, iż chodziło o katastrofę Obiektu Zero.

– *To nie tak* – tłumaczył nerwowo siedzący naprzeciw Granta mężczyzna. Thorn kojarzył jego twarz, ale nie kojarzył nazwiska, co oznaczało, iż był jakimś mniej istotnym politykiem. – *Takie rzeczy się zdarzają, mają prawo się zdarzać...*

– *„Mają prawo”?*

– *Nie wszystko da się przewidzieć. Działania sił nieprzychylnych Metrolitowi są poza naszą kontrolą.*

– *Doprawdy? Czyż nie od takich „sił” prezydent Silva obiecał nas chronić? Swoją drogą, czyż publika nie zasługuje na konferencję prasową, a nie ledwie oświadczenie od zarządcy miasta?*

– *Prezydent Silva bierze udział w dochodzeniu. Jest zajęty. Pragnę w tym miejscu przypomnieć, że gdyby nie zdecydował się zachować należytego bezpieczeństwa i spotkał się z dziennikarzami oraz publicznością bliżej budynku, mówilibyśmy o ofiarach śmiertelnych...*

– *To kpina i dobrze zdaje pan sobie z tego sprawę* – odparł lodowato Grant. – *Nie chodziło o żadne środki bezpieczeństwa, jedynym powodem, dla którego otwarcie odbywało się tak daleko od wejścia, było to, iż prezydent chciał, by kamery wychwyciły jak największą część znajdującego się za jego plecami budynku.*

– *Cóż, to nie...*

– *Czy to prawda, że choć pieniądze na budowę Obiektu Zero zaczerpnięto z budżetu miasta, prezydent Silva wykupił udziały na swoje nazwisko i zamierzał czerpać z inwestycji osobiste korzyści?*

– *T-To pogłoska. Zapewniam, że...*

– *Kto poniesie konsekwencje za miliardy litów stracone w wyniku braku wystarczającej kontroli i zaniedbań?*

Rose podeszła do stolika z ich śniadaniem.

– Smacznego – rzuciła z serdecznym uśmiechem. – Coś jeszcze?

– Gazety – przypomniał sobie Thorn.

– Oczywiście.

Thorn wciąż ignorował Voida, który przyglądał mu się dziwnie, zamiast jeść. Upił parę łyków kawy.

– *... więc jestem pewien, że prezydent Silva wie...*

– *Otrzymaliśmy wiadomość z ostatniej chwili.* – Grant bez cienia subtelności przerwał swojemu gościowi, a następnie odwrócił się do innej kamery. Widok ze studia zmienił się tak, iż nie było widać, aby znajdował się tam ktokolwiek poza Głosem Metrolitu. Thorn zastanawiał się, czy jego rozmówca poczuł irytację czy ulgę. – *Zgodnie z doniesieniami z Departamentu Orłów, pojmany przedwczoraj Angel Michels, znany powszechnie jako Void, nie stanie przed sądem. Powtarzam, Void nie stanie przed sądem. Departament Orłów zarządził, iż zebrane przez oficerów dowody są poszlakowe i nie wystarczają do postawienia podejrzanemu zarzutów. Brzmi absurdalnie? Jest takie* – zapewnił Grant. – *Zdaję sobie sprawę lepiej niż ktokolwiek inny, jak kiepsko działają nasi oficerowie* – Thorn przewrócił oczami. – *... jednak wypuszczanie kogoś, kto otwarcie przyznawał się do swoich zbrodni, to kpina z wymiaru sprawiedliwości, a przede wszystkim, kpina z obywateli. Co stanie się teraz? Czy seryjny zabójca wyjdzie na wolność? Czy Departament Orłów naprawdę jest gotów narazić życia mieszkańców Metrolitu? Będziemy informować Państwa na bieżąco.*

Nagrania w tle, które, jeszcze chwilę temu, przedstawiały katastrofę Obiektu Zero, teraz prezentowały Voida, a całe studio zmieniło barwy z czerwonych na niebieskie. Wyglądało na to, że ostatnie wieści mogły konkurować z tym, co wydarzyło się wczoraj. Grant będzie miał pożywkę przez następne miesiące.

Rose przyniosła mu elektroniczny dziennik, zawierający bogaty zestaw lokalnej prasy. Kolejna zaleta mieszkania w hotelu – subskrybowanie gazet było kosztowne, a tutaj miał wszystko pod ręką, bez żadnych dodatkowych opłat. Przejrzał dzisiejsze

wydania. Wszędzie pisano o Obiekcie Zero. Zastanawiał się, co zdominuje jutrzejsze okładki – wybuch czy może wypuszczenie Voida.

– Naprawdę sądzisz, że zrobiłem to ja? – zapytał Void, patrząc na zdjęcie zapadającego się budynku.

– Tak – potwierdził bez cienia wątpliwości Thorn.

– Dlaczego więc protestuję? Czyżbym miał problem z przyznaniem się do którejkolwiek z moich zbrodni? Czy potwierdzenie dokonania tej wpłynęłoby na mnie negatywnie? Kiepski byłby ze mnie artysta, gdybym wstydził się własnych dzieł. Obiekt Zero przeszedł mi przez myśl, ale nigdy nie był na moim celowniku.

– Kłamiesz i manipulujesz. Zmieniasz strategię, kiedy to dla ciebie wygodne. Nie mam powodu wierzyć w twoją twórczą „dumę”. Nawet jeśli nie dokonałeś tego własnymi rękami, mogłeś mieć współnika.

Void spojrział na niego bez zrozumienia i pokręcił głową.

– Po co miałbym dzielić się sławą?

– Marna to sława, wszak póki co milczy.

– Oficerze Thorn. – Rose podeszła do stolika. – Jest jakiś problem z pana płatnością.

– Naprawdę? – zdziwił się Thorn. Był koniec miesiąca, a więc czas, gdy odciągali mu wszystkie opłaty, ale też czas wypłat w wydziale, więc nie powinno być z tym kłopotu. Biorąc jednak pod uwagę ostatnie zamieszanie oraz fakt, że przelewy leżały po stronie Harding, mogło nastąpić opóźnienie. – Zaraz porozmawiam z zarządcą.

Rose uśmiechnęła się do niego i odeszła.

Thorn skończył jeść i odruchowo podniósł się z miejsca, dopiero wtedy przypominając sobie o Voidzie. Mógł wziąć go ze sobą, ale nie bardzo uśmiechało mu się, by ten słuchał o jego finansach. Zostawianie go wśród ludzi też nie wydawało się najlepszą z opcji, ale drań nie skończył jeszcze śniadania.

– Zostań tu – polecił mu surowo Thorn. – Znasz zasady, prawda? To polecenie.

– Oczywiście, oficerze.

– Siedź na miejscu i jedz. Wrócę za chwilę.

– Zrozumiałem. – Void westchnął ze znużeniem, podpierając policzek na dłoni. Trzymanym w drugiej ręce widelcem rozgrzebywał leniwie naleśnika. – Nie musisz się



niepokoić, oficerze, przecież nie mogę stąd uciec. Mógłbym natomiast zamordować wszystkich, którzy się tu znajdują, ale dziś nie jestem w odpowiednim humorze.

Thorn posłał mu surowe spojrzenie.

– Jeszcze raz zagroźysz mi w ten sposób, a skuję cię na dobre.

Void patrzył na niego bez cienia zainteresowania.

– To nie była groźba, tylko stwierdzenie faktu. Poza tym nie możesz tego zrobić.

– Mogę, chcę i zrobię to, jeśli dasz mi powód – ostrzegł Thorn. – Siedź tutaj.

Opuścił restaurację i poszedł do biura zarządcy. Był stałym klientem, nie musiał długo się tłumaczyć, wystarczyło, by powiedział, że płatność opóźni się o parę dni, ale córka zarządcy, kierująca hotelem w jego imieniu, pani Everett, skorzystała z okazji, by zapytać oficera o ostatnie wydarzenia. Udzielił jej paru niezbyt wylewnych odpowiedzi i wrócił do restauracji po dziesięciu minutach, czując niepokój.

Void siedział na swoim miejscu, kończąc śniadanie. Thorn odetchnął cicho w duchu i usiadł naprzeciwko niego. Może to wszystko będzie łatwiejsze, niż przypuszczał.

Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił jego telefon. Połączenie z wydziału. Odebrał.

– Co tam, Harding?

– Sęp do nas jedzie – odpowiedziała kobieta. – Chce z tobą gadać.

– Znowu? O co chodzi?

– Pewnie o Voida. Przyjedź najszybciej, jak się da, dobra?

Wyglądało na to, że czas odpoczynku oficjalnie dobiegł końca.

– Niedługo będziemy – rzucił Thorn, po czym zakończył połączenie.

Void spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– „Będziemy”? Och.

\*\*\*

W bazie pojawił się niecałe pół godziny później. Wszedł z Voidem do głównego pomieszczenia, gdzie oczekiwał na niego tylko Richter, aczkolwiek dostrzegł Harding

w jej oszklonym biurze i machnął do niej dłonią. Ta odwzajemniła gest, rozmawiając z kimś przez telefon.

– Zostań tutaj – polecił Voidowi, po czym podszedł do Richtera.

Void przysiadł na jednym z biurek, nie sprawiając zainteresowanego podążaniem za detektywem.

– Co się dzieje? – rzucił Thorn, zatrzymując się przy Sępie. – Chyba nie zamierzasz codziennie przychodzić tu w ramach kontroli, co? – zapytał na wpół żartobliwie, ale Richter nie zdawał się być w dobrym humorze.

– Będę tu przychodził tak długo, jak długo będziesz mi dawał ku temu powody – odparł surowo, a Thorn spojrział na niego bez zrozumienia. – Czy to prawda, że przykułeś go kajdankami do łóżka?

To zaszokowało Thorna.

– Skąd wiesz?

Nie przypominał sobie wzmianki, by wraz z nadajnikiem zamontowano Voidowi podsłuch.

– Zgłosił to – oznajmił ku jego zdumieniu Richter.

– Jak? – parsknął z niedowierzaniem detektyw.

– Zadzwoił do Departamentu Orłów.

– Niby kiedy? Nie spuszczałem go z oczu!

Richter wyjął swój telefon.

– Dokładnie o dziewiętej dwadzieścia siedem – powiedział po chwili, pokazując oszołomionemu Thornowi połączenie. – Dzwonił z hotelu.

Thorn pokręcił głową, już zamierzając stwierdzić, że to niemożliwe, ale zaraz coś sobie przypomniał. Obejrzał się na Voida z mieszaniną niedowierzania i oburzenia. Ten również na niego spoglądał. Ledwie natrafił na spojrzenie detektywa, a uśmiechnął się złośliwie. Musiał doskonale wiedzieć, o czym rozmawiają.

– Nie mogę w to uwierzyć – warknął z rozdrażnieniem Thorn. – Zostawiłem go na parę minut, dosłownie parę cholernych minut, a on zdążył znaleźć telefon i się poskarżyć?! Co za...

– To nie jest istotne – przerwał mu szorstko Richter. – To prawda?

Thorn kiwnął głową. Nie było sensu tego ukrywać.

- To wbrew zasadom – przypomniał Richter.
- To podejrzany.
- Już nie. Przynajmniej przez najbliższe osiemnaście miesięcy.
- I seryjny zabójca.
- Owszem, ale nasze prawo jest jednolite dla wszystkich.

To była najbardziej absurdałna deklaracja, jaka mogła paść w takich okolicznościach. Thorn wydał z siebie pełne irytacji prychnięcie.

– Czyżby? Powiedz mi, Richter, co by się ze mną stało, gdybym wyszedł stąd i kogoś zamordował? Zostałbym postawiony przed sądem czy łaskawe Sępy – Richter skrzywił się na to określenie. Nie znosił go. – ... uznałyby, że „nie ma odpowiednich dowodów”, mimo świadków, narzędzia zbrodni, ton poszlak oraz przyznania się do winy? Zostałbym skazany, ale potwór, który od długiego czasu terroryzuje to miasto, wychodzi na wolność. Nie przez brak dowodów, Richter, ale zapewne przez to, że jakiś bogaty, wpływowy zjeb, wali sobie, czytając o jego kolejnych przestępstwach. Nie pierdol o jednolitym prawie, bo to fikcja.

– Nie wolno ci go więzić – oznajmił stanowczo Richter. Musiał być przyzwyczajony do podobnych słów, bo nie zdawało się, by robiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Zapewne słyszał gorsze. – Wyjaśniałem ci to wczoraj i miałem wrażenie, że to rozumiesz, ale najwyraźniej się pomyliłem. Jeśli nie zastosujesz się do zasad, zmienię oficera nadzorującego.

– Zrozumiałem i wierz mi, miałem zamiar traktować go normalnie, ale najzwyczajniej w świecie nie mogę się do tego skłonić – przyznał Thorn. – Nie mogę... Nie mogę pozbyć się niepokoju, gdy znajduje się blisko mnie – dodał półgłosem, oglądając się na Voida. – On coś kombinuje. Powiedz mi, jak bardzo będzie obciążone twoje sumienie, jeśli ucieknie i znowu kogoś zabije?

Przez twarz Richtera przemknął zauważalny cień.

- Ma nadajnik.
- Miał go też wcześniej.
- W innym miejscu.
- To nieistotne, i tak znajdzie sposób, to Void, do diabła! – syknął Thorn.

– Odbywaliśmy już tę rozmowę – uciął Richter, sprawiając wrażenie zmęczonego. – Wszystkich nas obowiązują reguły.

– Czy tym właśnie się kierowałeś, wypuszczając go na wolność? „Regułami”? – zakpił Thorn.

Krytykowanie Richtera nie sprawiało mu żadnej satysfakcji, podobnie zresztą jak cała ta dyskusja. Czuł się źle, zwłaszcza że Stary Sęp zdawał się przyjmować kolejne ataki, nawet specjalnie się nie broniąc. Widać był do tego przyzwyczajony.

– To cios poniżej pasa i wiesz o tym – stwierdził Richter, po dłuższej chwili ciszy.  
– Nie mam pełnej kontroli nad tym, co dzieje się w moim departamencie, i o tym również wiesz. Gdybym nie wykonał polecenia, jutro moje miejsce zająłby ktoś inny, a efekt byłby dokładnie ten sam. – Thorn rozumiał implikacje tych słów. Przewodniczący Departamentu Orłów wybierany był na dziesięcioletnią kadencję. To była już druga kadencja Richtera, ale do końca zostały mu ponad cztery lata. Zastąpienie go byłoby możliwe, gdyby ten stracił fizyczną lub umysłową zdolność do pełnienia tej funkcji. Albo gdyby zmarł. – To nie znaczy jednak, że jestem ślepą marionetką, bezradną i obojętną na to, co się wokół mnie dzieje. Reguły są łamane, to prawda, i nawet my, chociaż mamy stać na ich straży, jesteśmy zmuszeni do działania w haniebnym sposób. Jeśli jednak sądzisz, że dobrowolne odchodzenie od ustalonych zasad i tłumaczenie tego szczególnymi okolicznościami cokolwiek poprawi, jesteś w błędzie. Twoi koledzy z wydziału przyklasną takiemu traktowaniu Voida, przyklasnęłyby temu i generalna opinia, ale jak bardzo różniłbyś się wtedy ode mnie? Albo od niego?

Thorn zjeżył się w reakcji na to pytanie.

– Nie miałbym na rękach niczyjej krwi – odpowiedział z przekonaniem.

– Nie? – Richter uśmiechnął się ponuro. – Przecież właśnie ustaliłeś, że tacy jak Void nie zasługują na traktowanie zgodnie z regułami. Ile czasu minie nim uznasz, że nie zasługują na życie? Kim się staniesz, oficerze Thorn, zniżając się do poziomu tych, których nazywasz potworami?

Thorn milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wiedział, że Richter ma rację, więcej nawet, sam przez lata tłumaczył sobie własne działania dążeniem do zachowania porządku, ale czy to właśnie czynił? Metrolit potrzebował jasnych reguł.

Łamali je przestępcy i łamali je ci, którzy znajdowali się na górze, jeśli zaczną je łamać tacy jak on, to miasto pogrąży się w chaosie.

A w chaosie nie było miejsca na sprawiedliwość.

– Popełniłeś błąd, ale wciąż uważam, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – stwierdził Richter. – Jeśli twoje przypuszczenia są prawdziwe i Void miał coś wspólnego z Obiektem Zero, odkryjesz to.

– Nie, jeśli wcześniej ucieknie.

– Więc miej go na oku.

– Jak? – mruknął bezradnie Thorn. – Nie mogę być z nim przez całą dobę.

– Jeśli masz aż taką paranoję i nie wierzysz sygnałowi z nadajnika, kładź się z nim do łóżka – zasugerował Richter. Thorn spojrział na niego z oburzeniem i dopiero wtedy dostrzegł, że kąciki ust Sępa uniosły się w lekkim uśmiechu. – Jest pod kontrolą. I twoją, i Służby Bezpieczeństwa. Nie powiem, że to czyni bezpiecznym ciebie albo całe miasto, bo wiele może się wydarzyć, ale nadzór to nie pozwolenie do zabijania. Jeśli złamie prawo w trakcie jego trwania, nie uniknie sądu.

– Na pewno? – zapytał ponuro Thorn.

Fakt, że nie uzyskał odpowiedzi, nie stanowił pocieszenia.

\*\*\*

– Jesteś na mnie zły, oficerze Thorn?

Wracali do hotelu. Thorn prowadził, a Void siedział obok, sprawiając wrażenie, jak gdyby wyczekiwał odpowiedniego momentu, by zadać to pytanie.

– Nie – odmruknął zgodnie z prawdą detektyw.

Istniało tysiąc powodów, przez które mógł być „zły” na Voida (łagodnie rzecz ujmując), ale na pewno nie zaliczała się do nich zaistniała sytuacja. Był zdziwiony, owszem – nie spodziewał się, że Void tak sprawnie wykorzysta zaledwie parę minut swobody. To była lekcja, by nie dawać mu jej zbyt wiele, co nie zmieniało faktu, że miał prawo do takiego zachowania i w przeciwieństwie do Thorn, nie złamał żadnych zasad.

Prawda była taka, że Thorn czuł się źle z samym sobą. Słowa Richtera trafiły we wrażliwy punkt i sprawiły, że detektyw zaczął zastanawiać się nad tym, co motywowało go do działania. Nie był przecież żadnym zemsty ślepcem, a pomiatanie kimkolwiek, nawet Voidem, nie sprawiało mu satysfakcji. Dlaczego więc postąpił wczoraj w taki sposób?

Znał odpowiedź. Bał się. Niezależnie od tego, jak bardzo było to nieprawdopodobne, odczuwał paraliżujący lęk na myśl, że Void może uciec i kogoś zabić albo, co jeszcze gorsze, zaszyć się gdzieś i umknąć sprawiedliwości na dobre. Mogło się zdawać, że uciekł jej już teraz, ale Thorn chciał wierzyć, że sąd go nie minie. Może te osiemnaście miesięcy nadzoru stanowiło jakiś popieprzony eksperyment, a gdy dobiegnie końca, Void dostanie wreszcie to, na co sobie zasłużył. Thorn chciał w to wierzyć. Więcej nawet, musiał w to wierzyć, bo służba miastu, które świadomie wypuszczało potwory na żer, nie miała nic wspólnego z jego ideałami.

– To dobrze – odezwał się Void, po tak długiej chwili ciszy, że nie brzmiało to jak kontynuacja wcześniejszej rozmowy. – Donoszenie Departamentowi Orłów nie sprawia mi radości, jednak wychodzę z założenia, że pewne rzeczy należy ustalić od razu. Dziś ustaliliśmy, że nie pozwolę się traktować w taki sposób.

– Nie przypuszczałem, że jesteś taki wygodnicki – mruknął kąśliwie Thorn.

– To nie kwestia wygody.

– A czego? Tego, że na to nie zasługujesz? Uważaj, Void – warknął ostrzegawczo. – Są tacy, którzy obeszliby się z tobą znacznie gorzej i nie mieli z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Te słowa nie zrobiły na Voidzie żadnego wrażenia.

– Jeśli chcesz mnie traktować tak, jak na to „zasługuję”, oficerze, nie baw się w przywiązywanie mnie do łóżka, tylko zrób to, co faktycznie chciałbyś mi zrobić – oznajmił beznamiętnie, a Thorn, zaszokowany tymi słowami, wszedł w zakręt tak ostro, że zahaczył kołem o chodnik. – Nie będę protestował. Jeśli jednak wolisz bawić się w półśrodki, nie zamierzam brać w tym udziału. To nudne – stwierdził takim tonem, jak gdyby stanowiło to ostateczny i niepodważalny argument.

Thorn spoglądał na mężczyznę z osłupieniem. Czy dobrze zrozumiał jego słowa? Czy ten właśnie dał mu pozwolenie na to, by pozbawić go życia?

W samochodzie rozległ się dźwięk, sygnalizujący nadchodzące połączenie. Thorn przycisnął odpowiedni guzik na panelu, sprawiając, że wewnątrz pojazdu rozbrzmiał głos Harding.

– Thorn. Jest sprawa.

– Jaka? Dopiero co byłem w bazie, mogłaś powiedzieć mi osobiście.

– Dowiedziałam się chwilę temu. Wielokrotne zabójstwo.

A zatem chodziło o taką „sprawę”.

– Które to już w tym miesiącu? – mruknął ponuro Thorn.

– Jedź do „Pierwszego Przylądka”. Na miejscu są już kryminalni i Służba Bezpieczeństwa.

– Potrzebują pomocy czy istnieje coś, co wskazywałoby na sprawstwo seryjnego?

Cisza.

– Harding? – ponaglił kobietę Thorn.

– W pewnym sensie – odparła enigmatycznie Harding.

– To znaczy? – zdziwił się Thorn.

– Po prostu tam pojedź i zbierz tyle informacji, ile zdołasz. Porozmawiamy, jak wrócisz.

– Jasne.

Połączenie zostało zakończone. Thorn wybrał na nawigacji wskazane przez kobietę miejsce, po czym zawrócił, by tam właśnie się udać.

„Pierwszy Przylądek” był hotelem, chociaż zupełnie innym od tego, w którym mieszkał Thorn. Z paroma basenami, kortem tenisowym, dwupiętrową siłownią, profesjonalnymi masażystami oraz pokojami kosztującymi co najmniej kilka tysięcy litów za noc, stanowił obiekt turystyczny, a nie miejsce, gdzie można było przenocować w ciszy i spokoju. Gościli w nim głównie zamożni mieszkańcy innych miast, przyjeżdżający do Metrolitu, by się zabawić.

Teraz, gromadzące się pod hotelem pojazdy oficerów, jasno wskazywały na to, iż zabawowy nastrój dobiegł końca. Thorn wysiadł z samochodu. Machnął dłonią do Eveline Watson, detektyw z wydziału kryminalnego, z którą pracował przez parę lat.

Odmachała mu, powracając do rozmowy z kimś ze Służby Bezpieczeństwa. Wyglądało na to, że zbierała się do odjazdu.

Thorn zastanawiał się, co zrobić z Voidem. Rozważał zostawienie go w samochodzie, ale nie wiedział, czy auto mogło być uznane za wspomniane w zasadach „pomieszczenie”, więc ostatecznie zabrał go ze sobą. Weszli do wnętrza hotelu. Na wpół przerażona, na wpół podekscytowana recepcjonistka, która drżącym od emocji głosem opowiadała komuś o zbrodni, wskazała im pierwsze piętro. Gdy znaleźli się tam, wystarczyło skierować się do miejsca, w którym gromadzili się oficerowie.

– Gdzie jest Archer? – zapytał Thorn jednego z oficerów Służby Bezpieczeństwa, pokazując mu swoją przepustkę.

– Na urlopie – odpowiedział mu inny, stając u boku swojego kolegi. Miał może ze trzydzieści lat, był niski, jasnowłosy i uśmiechał się nerwowo, patrząc na Thorną. – Zastępuję go. Travis Banner – przedstawił się, wyciągając dłoń.

– Thorn – rzucił krótko detektyw, ściskając ją.

– Wiem – oznajmił Banner, tonem zdradzającym ekscytację. – Często widziałem cię w telewizji, no i wszyscy o tobie gadają.

Powiedziawszy te słowa, Banner usiłował przywitać się z Voidem, ale ten ostentacyjnie zignorował jego rękę. Oficer Służby Bezpieczeństwa zmieszał się i posłał Thornowi niepewne spojrzenie, po czym na powrót przywołał uśmiech i powiedział:

– Chodźcie za mną.

Przeszli do wschodniego skrzydła. Kręciło się tam wielu oficerów, co powodowało hałas i zamieszanie.

– Wszystko rozegrało się tutaj – wyjaśnił Banner, zatrzymując się przy drzwiach do jednego z pokoi. Thorn dostrzegł, że na ich środku znajdował się jakiś dziwny ślad.

– Tu były przyczepione numery – rzucił Banner, dostrzegając jego spojrzenie. – Zostały zdjęte też z pozostałych – dodał, uchylając szerzej drzwi.

– Zostań tu – polecił Voidowi Thorn.

– Chciałbym się rozejrzeć. – Słowa Voida brzmiały niemal niczym prośba.

– Nie.

– Jestem ciekaw.

– Nie.



– Mógłbym pomóc.

– Powiedziałem już, że nie – warknął Thorn, po czym wszedł za Bannerem do mniejszego pomieszczenia.

Spodziewał się kilku ciał, ale zastał tylko jedno. Leżało na podłodze, odwrócone do niej twarzą. Należało do jakiegoś opasłego mężczyzny w średnim wieku i tylko to Thorn był w stanie stwierdzić z tych pobieżnych oględzin. W tyle jego głowy znajdowała się dziura po kuli, ale wokół nie było wiele krwi.

– Co wiemy? – zapytał Thorn, kucając przy ciele, by przyjrzeć się denatowi uważnie.

– Brak śladów szarpaniny czy walki, pojedynczy strzał w głowę.

Thorn podniósł wzrok na Bannera, chcąc coś powiedzieć, ale wtedy dostrzegł za jego plecami Voida. Mężczyzna stał tuż przed wejściem do pokoju, przyglądając się trupowi z umiarkowanym zainteresowaniem. Thorn posłał mu mordercze spojrzenie. Void uniósł brew i wykonał gest dłonią, jak gdyby chciał zasygnalizować, że wciąż znajduje się w korytarzu, więc nie narusza zasad. Banner sprawiał wrażenie zdeorientowanego.

– Pokaż mi kolejne – polecił Thorn.

Przeszli do drugiego pokoju. Znowu brak numeru i znowu jedna ofiara, tym razem kobieta. Stosunkowo młoda, jasnowłosa, również z raną postrzałową, choć ta znajdowała się pośrodku jej czoła. Sprawca musiał strzelić jej prosto w twarz, upadła na plecy, przewracając stojący za nią stolik.

– Zabita w ten sam sposób – mruknął do siebie Thorn. – Ale jeśli była druga w kolejności, powinna była usłyszeć strzał i uciec albo zamknąć się w pokoju czy w łazience.

– Wygląda na to, że zabójca lub zabójcy użyli Vaxu.

– Tak – potwierdził ponuro Thorn, również dochodząc do tego wniosku. – Wciąż zastanawiam się, co nas podkusiło do tworzenia bezgłośnej broni.

– Przydaje się – stwierdził entuzjastycznie Banner. – ...oficerom służb specjalnych, szpiegom, żołnierzom...

– ... zabójcom – dopowiedział chłodno Thorn.

– Nie jest łatwo ją dostać.

– Wszystko jest łatwo dostać, gdy masz pieniądze i odpowiednie kontakty.

Nie istniało nic, czego nie dałoby się kupić na czarnym rynku Metrolitu.

– Mamy jeszcze jakieś ofiary? – zapytał Thorn.

Banner uśmiechnął się ponuro.

– Całe mnóstwo. Dwadzieścia cztery.

Thorn wbił w niego pełne zaszokowania spojrzenie.

– Ile?

– Dwadzieścia cztery ofiary i dwadzieścia cztery pokoje – odpowiedział Banner, a Thorn obejrzał się przez ramię na stojącego w drzwiach Voida. Ten przysłuchiwał się im z zainteresowaniem, ale nie wydawał się zdziwiony. – Całe skrzydło.

– Kiedy miała miejsce zbrodnia?

– Z naszych ustaleń wynika, że w okolicach godziny dziesiątej.

Thorn był oszołomiony. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć.

– Pokaż mi następne.

Banner prowadził go od pokoju do pokoju, prezentując kolejne ciała. Wszystkie ofiary zostały zamordowane w ten sam sposób, choć nie zdawał się istnieć żaden wzór co do ich doboru. Były to zarówno kobiety, jak i mężczyźni, w przedziale wiekowym od dwudziestu do sześćdziesięciu lat.

Void włókł się za nimi mniej więcej do połowy, później przystanął i oparł się plecami o ścianę, wyglądając na znużonego tym, co się wokół niego działo. Thorn był bardziej cierpliwy i wreszcie, przy ostatnich drzwiach, zdawało się to popłacić. Wzór został przełamany. Rozmyte ślady krwi znajdowały się przed drzwiami, a także tuż za nimi. Podłużna, szkarłatna smuga na białym dywanie, kończąca się w miejscu, w którym leżała ofiara, jasno sugerowała, iż nie zginęła ona wewnątrz pokoju, a na korytarzu, po czym została tu przyciągnięta.

– Dlaczego zabójca miałby to robić? – zastanawiał się na głos Banner.

– Bo zależało mu na tym, żeby zachować schemat – odparł cicho Thorn. – Planował zabić wszystkich w ich pokojach, ale ona wyszła. Być może się zniecierpliwiła, może coś usłyszała, trudno powiedzieć, w każdym razie zginęła tutaj.

– To wygląda tak, jak gdyby starał się zmyć ślady. Po co?

– Powód miał dokładnie ten sam. Chciał, by to była zbrodnia doskonała, ale coś nie poszło po jego myśli. Prawdopodobnie usiłował usunąć ślady, by oszukać nas, że jednak mu się powiodło, ale zabrakło mu czasu lub cierpliwości. Tak czy inaczej, bez wątpienia, nie był to byle mord, a element chorej wizji.

Wrócił wraz z Bannerem na korytarz, zatrzymując się nieopodal Voida.

– Co jeszcze wiemy? – zapytał.

– Całe skrzydło zostało zarezerwowane i wynajęte przez jedną osobę, Donalda Washingtona. Ofiary były mieszkańcami Metrolitu. Przebywały tutaj, bo wygrały jakiś konkurs. Nie znam więcej detali, wciąż przesłuchujemy rodziny.

– Rodziny?

– O, tak. Ofiary nie przyjechały tutaj same. Byli z nimi ich mężowie, żony i dzieci.

Thorn westchnął cicho. Nie znosił takich spraw.

– Wiem, dlaczego tu jesteś – odezwał się nagle Banner z wyraźną ekscytacją.

Detektyw spojrzał na niego bez zrozumienia.

– Dwadzieścia cztery – rzucił wymownie Banner, uśmiechając się z taką dumą, jak gdyby odkrył największą tajemnicę świata. – To proste, nie? To JEGO sprawka. Słyszałem rano, że go wypuścili. Nie trwało długo, nim dokonał następnej zbrodni, co?

Thorn uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Niech zgadnę, mówisz o Voidzie?

– No jasne!

– Void stoi obok mnie – oznajmił detektyw.

Banner zaśmiał się głośno, jak gdyby uznał to za żart, ale widząc powagę rozmówcy, momentalnie zdębiał. Ze strachem spojrzał na stojącego obok niego mężczyznę, a później znów na Thorna. Cofnął się o krok, przełykając nerwowo ślinę.

– Nie ma powodów do obaw – zapewnił Thorn. – Jest pod moim nadzorem, zresztą ma wszczepiony nadajnik. Tak czy inaczej, nie mógł dokonać tych zbrodni, przynajmniej nie osobiście, w okolicach dziesiątej, a i przedtem, przebywał ze mną.

Banner zdawał się wstrząśnięty tą informacją, a fakt, że Void spoglądał na niego pogardliwie, ze złośliwym uśmieszkiem, z pewnością nie pozwalał mu się uspokoić.

– R-R-Rozumiem – wydusił z siebie jedynie, gdy wreszcie odzyskał głos.

– Wspominałeś, że ciągle przesłuchujecie rodziny. Mogę wziąć w tym udział?

Cisza.

– Banner.

– Hm? O-Och, tak, oczywiście!

\*\*\*

Pierwsza osoba, która mu się trafiła, zanosila się łzami. Nie było w tym nic dziwnego, przeciwnie, ale Thorn czuł się beznadziejnie w starciu z płaczącymi ludźmi.

– Pani Willis – zaczął, starając się brzmieć łagodnie. – Bardzo mi przykro. Obiecuję, że wkrótce ktoś się panią zajmie, ale póki co muszę zadać parę pytań, to bardzo ważne.

– Czy to naprawdę on? – zapytała z desperacją kobieta, wciąż łkając głośno.

– Wszystkie ofiary zostaną ostatecznie zweryfikowane po ich DNA – zapewnił Thorn. To było standardowe działanie. – Pani męża zidentyfikowaliśmy jednak po dokumentach. Nie wydaje się, by istniała możliwość pomyłki.

Kobieta rozplakała się jeszcze bardziej. Thorn odkaszlnął cicho i odruchowo spojrzał przez ramię na Voida, który stał w kącie pomieszczenia. Nie wyglądał na jakkolwiek poruszonego tą sceną.

– Pani Willis, gdyby pani mogła... Proszę powiedzieć, dlaczego pani mąż wrócił do pokoju sam?

– Nie wiem – odpowiedziała, pociągając nosem. – Nie rozmawialiśmy ze sobą, byłam na niego zła. Pływałam w basenie, razem z moim synem, a Tom się opalał. Dostał telefon i oznajmił mi, że idzie na moment do pokoju.

– Telefon? Kto do niego zadzwonił?

– Nie wiem – powtórzyła kobieta, z chwili na chwilę coraz bardziej roztrzęsiona.

– Nie zapytałam. Teraz wiem, że powinnam, ale się pokłóciliśmy i...

– W porządku – rzucił miękko Thorn. – Mam jeszcze jedno pytanie, nie opłaciliście pobytu tutaj sami, prawda?

– Nie, wygraliśmy konkurs.

– Jaki konkurs?

Kobieta milczała przez dłuższą chwilę.

– Nie wiem – odpowiedziała bezradnie po raz kolejny. – Naprawdę nie wiem.

Mieliśmy ostatnio ciężkie miesiące.

Z drugą osobą było trochę łatwiej. Mężczyzna sprawiał wrażenie wstrząśniętego, ale względnie opanowanego i świadomego tego, co się wokół niego działo.

– Bardzo mi przykro z powodu pana męża, panie Royce – rzucił Thorn.

– Dziękuję – odparł cicho tamten. – Czy coś już wiadomo?

– Jesteśmy w trakcie śledztwa. Chciałbym panu zadać kilka pytań.

– Oczywiście.

– Dlaczego pana mąż znalazł się w pokoju sam?

– Ktoś do niego zadzwonił – oznajmił Royce. – Ktoś z hotelu, a przynajmniej tak wtedy sądziliśmy. Powiedziano mu, żeby poszedł do pokoju. Chciałem iść z nim, ale Damian mówił, że poproszono go, by był sam. Wtedy nie widziałem w tym nic dziwnego. Sądziłem, że to ma związek z konkursem, że chodzi o jakąś weryfikację, nagrodę albo coś podobnego.

– Proszę powiedzieć coś więcej o tym konkursie.

– Nie wiem wiele. To Damian brał w nim udział, ale powiedział mi, dopiero gdy wygraliśmy pobyt tutaj. Podobno przed kilkoma tygodniami dostał maila, w którym zachęcano go do wzięcia udziału. To nie było nic skomplikowanego, trzeba było odpowiedzieć na kilka pytań... Wspominał mi, że uznał to za dziwne, ale nieszkodliwe, a nagrody były interesujące. W ten sposób trafiliśmy tutaj.

Godzinę później, zbierali się z Voidem do opuszczenia budynku.

– Co z kamerami? – zaczepił Bannera.

– Te na pierwszym piętrze przestały działać o dziewiątej.

– Dlaczego?

Banner wzruszył ramionami.

– Podobno jakaś awaria, chociaż prawdopodobnie stał za tym zabójca.

– Zapewne. Prześlij mi protokoły ze wszystkich przesłuchań. Spis dowodów rzeczowych i wyniki oględzin zwłok ślij bezpośrednio do Crossa.

– Oczywiście.

Wszystko wskazywało na to, że mieli do czynienia z kolejnym seryjnym zabójcą.

Albo echem poprzedniego.

\*\*\*

Wrócił do bazy półtorej godziny później. W pomieszczeniu głównym natknął się na Kita. Chłopak tam pracował – co prawda miał swój własny gabinet, ale ten przypominał raczej klaustrofobiczną klitkę niż przestronne pokoje należące do detektywów. Kit, w przeciwieństwie do nich, wykonywał swoje zadania głównie na miejscu, zatem logika podpowiadała, iż to jemu należało się coś wygodniejszego, ale chłopak pracował tu krótko i jeszcze nie zdążył się wykazać, więc Harding nawet nie brała tego pod uwagę.

– Thorn – rzucił Kit na widok mężczyzny i natychmiast zerwał się z miejsca.

– Jestem zajęty – uciał detektyw, ale Kit szybko zrównał się z nim krokiem.

– Sprawdziłem Donalda Washingtona – oznajmił pogodnie. – Wiesz, tego, który dokonał rzekomo płatności za pokoje. Nikt taki nie istnieje, ani w Metrolicie, ani Renis, gdzie został założony rachunek. To prawdopodobnie fikcyjne nazwisko, wymyślone przez mordercę, aby nikt go nie namierzył.

Thorn przystanął i posłał informatykowi poirytowane spojrzenie.

– Kit, możesz zrobić mi przysługę?

– Pewnie.

– Następnym razem, kiedy mnie zatrzymasz, powiedz mi coś, co nie jest absurdalnie oczywiste. – Kit spłoszył się momentalnie w reakcji na te słowa i spuścił wzrok, a Thornowi zrobiło się trochę przykro, że potraktował go tak szorstko, ale dzieciak musiał się nauczyć, że oczywistości trafiały do raportów, a nie stawały się obiektem niepotrzebnych dyskusji. – Ty zostajesz tutaj – polecił Voidowi, a sam wszedł do pracowni Crossa.

Cross, w swoich kompletnie do niego niepasujących okularach z grubymi, czerwonymi oprawkami, siedział przed ekranem komputera, przeglądając coś w skupieniu.

– Przesłano ci wszystkie dowody? – zapytał Thorn.

– Raporty – mruknął Cross, nawet nie podnosząc na niego wzroku. – Fizycznych dowodów nie otrzymam, póki sprawa nie trafi w nasze ręce.

– Na pewno trafi, nie mam wątpliwości, że to działanie seryjnego zabójcy.

– Naśladowcy Voida?

– To prawdopodobne.

Cross kiwnął niemrawo głową, zgadzając się z tym stwierdzeniem.

Był specyficzną postacią, budzącą kontrowersje i w tym wydziale, i w każdym innym, w jakim zdarzyło mu się pracować. Urodził się kobietą i nie poddał żadnemu zabiegowi, który miałby zmienić jego płeć, zatem w oficjalnych dokumentach wciąż figurował jako obywatel płci żeńskiej. Cross nie utożsamiał się jednak z żadną z płci, co powiedział im kiedyś otwarcie, prawdopodobnie nagabywany przez Cage'a. Thorn od samego początku zwracał się do niego w formie męskiej, bo tak było najprościej, zresztą upodobanie Crossa do krawatów i garniturów zdawało się sugerować, iż było to właściwe. Nigdy nie widział go w niczym choćby względnie kobiecym. Cross go nie poprawił, więc tak już zostało. To nie tożsamość Crossa budziła zamieszanie.

Był świetnym analitykiem, być może nawet najlepszym w mieście – zauważał to, na co nie zwracali uwagi inni, był przenikliwy, opanowany i zawsze zdawał się mieć wszystko pod kontrolą. Niestety zachowywał się w sposób, jaki niepokoił jego współpracowników, co sprawiało, że w swoich poprzednich wydziałach zawsze pracował sam, czego konsekwencją była stopniowa marginalizacja. Dopiero tutaj miał szansę się wykazać.

Cross był socjopatą. Zdystansowanym, chłodnym, nienawiązującym głębszych relacji międzyludzkich, całkowicie skoncentrowanym na pracy. Rzadko okazywał emocje, o ile w ogóle to robił. Doskonale radził sobie w terenie, na miejscach zbrodni, bo widok ciał, nawet tych najbardziej zmasakrowanych, wcale go nie ruszał. Właściwie nie ruszało go zupełnie nic. Czasem Thorn miał wrażenie, że świat mógłby pęknąć na oczach Crossa, a ten przyjąłby to wzruszeniem ramionami.

Thorn oceniał go pod względem jego kompetencji i choć początki były trudne, szybko przyzwyczał się do specyficznej natury współpracownika, a nawet zaczął dostrzegać jej zalety. Niestety, nie dla wszystkich były one równie oczywiste. Zajmowali się tropieniem takich jak on, zatem posiadanie w zespole kogoś o podobnych

zaburzeniach było niefortunne i potrafiło budzić paranoiczne myśli. Cage otwarcie nie znosił Crossa. Często powtarzał też, że Cross któregoś dnia wykończy ich wszystkich i choć mówił to w żartobliwym tonie, nietrudno było dostrzec, iż naprawdę miał takie obawy.

– Kule zapewne nie były oznakowane, co? – zapytał Thorn.

– To nie były zwykłe kule.

– Co to znaczy?

– Znajdował się w nich kwas. Zaraz po trafieniu w cel rozlał się, stapiając warstwę ochronną oraz sporą część tego, co znajdowało się dookoła.

– Dlaczego zabójca miałby wybrać takie kule? – Thorn spojrział na Crossa bez zrozumienia.

– Bez konkretnego powodu – odparł beznamiętnie analityk. – Zabijają tak samo, jak inne, wszystko zależy od tego, czy chcesz odstrzelić ofierze mózg, czy go stopić. To kwestia estetyki.

Cały Cross.

– A ślady?

– To pokój hotelowy, jest ich od groma, ale brak odcisków palców w miejscach, w których wisiały numery pokojów, jasno wskazuje na to, iż sprawca działał w rękawiczkach.

– Gdyby coś się pojawiło, daj znać.

– Oczywiście.

Po wyjściu z pracowni, Thorn udał się do gabinetu Harding.

– Mogę? – zapytał, uchylając drzwi.

Kobieta kiwnęła głową, więc detektyw wszedł do środka.

– Pewnie przyszedłeś zapytać, po co cię tam wysłałam – rzuciła cicho, siedząc za ekranem komputera.

– Wiem po co.

– Jak to? – Harding sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– To nie wyższa matematyka, mówimy w końcu o dwudziestu czterech trupach.

To zaszokowało Harding jeszcze bardziej.

– C-Co? – zapytała niepewnie.



– Zamordowano dwadzieścia cztery osoby – wyjaśnił Thorn, by zaraz dopytać – Nie wiedziałaś? Wszyscy w wydziale już się tym zajmują.

– Nie miałam czasu, żeby... – Harding ucięła momentalnie i zagryzła wargę, zastanawiając się nad czymś. – Dwadzieścia cztery – powtórzyła cicho, bardziej do siebie niż do Thorn.

– Obiekt Zero mogłaś uznać za zbieg okoliczności, ale chyba zgodzisz się ze mną, że ta liczba to nie przypadek?

Harding sprawiała wrażenie zmieszanej.

– Co do Obiektu Zero...

– Tak? – ponaglił ją Thorn.

Kobieta odetchnęła głęboko, po czym dała detektywowi znak, by ten podszedł bliżej. Thorn zatrzymał się tuż obok niej.

– O co chodzi?

– Czytaj – poleciła Harding, wskazując wyświetlającą się na ekranie wiadomość.

*Uroczą pani Harding, szanowny detektywie Thorn oraz Wy, pozostali, którzy nie jesteście na tyle istotni, by wymieniać Wasze nazwiska. Chciałem osobiście pogratulować Wam sukcesu. Pojmanie Voida wzbudziło we mnie takie emocje, że postanowiłem, iż przypieczętujemy je małym wybuchem. Nigdy nie byłem za dobry w ustalaniu proporcji. Pewnie sądzicie teraz, że nic nie zagraża miastu i nadeszła pora na odpoczynek. Nic bardziej mylnego. Wakacje się skończyły, o czym przyjdzie się Wam dziś przekonać, ale zabawa dopiero się zaczyna. Dokonam tego, czego próbował dokonać on. Tyle że ja nie zapomniałem o najważniejszej liczbie – o zerze.*

Po odczytaniu maila, Thorn milczał przez dłuższą chwilę, analizując go w myślach.

– Kiedy to dostałaś? – zapytał wreszcie.

– Rano. Wiadomość trafiła bezpośrednio na moją skrzynkę, nie przeszła przez filtry, nie wylądowała w centrali, jest tu i tylko tu. Ktoś wiedział, co robi i zależało mu na tym, bym to dostała.

– Pokazałaś to Kitowi? Może będzie w stanie namierzyć nadawcę.

– Nie pokazywałam tego nikomu, bo nie wiedziałam, co to właściwie oznacza – rzuciła Harding, zdradzając oznaki zdenerwowania. – Równie dobrze to mógł być jakiś chory żart. Później usłyszałam o zbrodni w tym hotelu i od razu skojarzyło mi się z tym, co przeczytałam. Kurwa – syknęła bezradnie, przecierając twarz dłońmi. – Naprawdę miałam nadzieję, że to już koniec.

Thorn również, choć stracił ją szybciej niż ona. Oprócz szumu politycznego i wypuszczenia seryjnego zabójcy, mieli jeszcze drugiego, który dopiero rozwijał skrzydła. Zapowiadał się cholernie trudny czas.

– Wciąż sądzisz, że Void za tym stoi? – zapytała Harding, przyglądając się detektywowi badawczo.

– Sądzę, że jest z tym powiązany. – Odpowiedź detektywa była ostrożniejsza niż wcześniej. Zaczynał wątpić w swoją pierwszą teorię.

– Jakaś szansa, że mógł tego dokonać?

– Nie osobiście. – Harding musiała się tego spodziewać, a mimo to była zawiedziona. Niestety, czas prostych rozwiązań dobiegł końca. – Był ze mną przez cały czas, nie licząc nocy i paru minut z samego rana. Gdy dokonywano tej zbrodni, prawdopodobnie znajdowaliśmy się w bazie. Nie mógł popełnić wielokrotnego mordu po drugiej stronie miasta, co nie zmienia faktu, iż może mieć współnika albo ucznia, który robi to na jego polecenie.

– Albo ma naśladowcę – mruknęła ponuro Harding.

– Możliwe. Na ten moment nie możemy wykluczyć żadnej opcji, jednak powiązanie z Voidem jest oczywiste. Od tego musimy zacząć.

– To wciąż może być przypadek, wiesz? Obiekt Zero. Ten, kto napisał list, zapewne stoi za zbrodniami w hotelu, ale tamten wybuch może sobie bezpodstawnie przypisywać.

Thorn milczał. Miał już swoje zdanie na temat tej sprawy.

– Wszystko w porządku, Harding? – dopytał po dłuższej chwili.

– Nie – odparła kobieta, ale na jej wargach pojawił się cień uśmiechu.

Thorn parsknął, rozbawiony.

– Tak sądziłem.

– Po prostu muszę się ogarnąć, przesłać to wydziałowi kryminalnemu, skontaktować się z Sępami i...

– Pokaż to Kitowi.

– To też.

– Zbieram się do domu – oznajmił Thorn. – Gdyby działo się coś ważnego, dzwoń. W przeciwnym wypadku widzimy się rano.

– Do, oby, jutra.

Thorn opuścił gabinet szefowej wydziału i wrócił do głównego pomieszczenia. Od razu dobiegł go pełen przejęcia głos Kita:

– ... niesamowite, prawda? To znaczy nie żeby to, co robiłeś ty, takie nie było. – Thorn przewrócił oczyma, gdy dostrzegł, że chłopak rozmawia z Voidem. Ktoś powinien solidnie potrząsnąć tym dzieciakiem. – W sensie ty też byłeś bardzo śmiały, ale to szalenie imponujące. Zabił wszystkich pojedynczo, każdego w innym pokoju. To było ryzykowne, prawda? Ktoś mógł wyjść albo coś zauważyć. No i to hotel. Nie pora nocna, tylko biały dzień, wokół musiało się kręcić pełno ludzi, a on...

– Kit – warknął ostrzegawczo Thorn. – Mówisz o śmierci niewinnych osób, postaraj się przy tym nie ślinić z ekscytacji.

Kit spuścił wzrok, zawstydzony tą uwagą.

– P-Przepraszam – rzucił nieśmiało, ale mimo to nie był w stanie powstrzymać się od skierowanego do Voida pytania – A co ty o tym sądzisz?

Void stał nieopodal chłopaka, wsparty biodrem o biurko, ze skrzyżowanymi na wysokości klatki piersiowej ramionami, wyglądając na tak znudzonego jak zawsze.

– Sądzę, że to nie było niesamowite, tylko żałosne – mruknął Void.

Kit wbił w niego pełne zaskoczenia spojrzenie.

– Żałosne?

– Za bardzo się stara. Symbolika oddziałuje najmocniej wtedy, gdy jest subtelna, a nie razi po oczach. Jest jak dziecko, które zostało poproszone, by narysowało słońce, ale desperacko stara się popisać, więc rysuje też niebo, trawę, ludzi i wszystkie inne drobne elementy, które sprawiają, że obrazek staje się przytłoczony nieistotnymi detalami i bazgrołami, a główny cel jest niemal niewidoczny. Nie jestem pod wrażeniem – oznajmił obojętnie.

Kit był tak zaskoczony, że nie potrafił skleić konstruktywnej odpowiedzi i bardzo dobrze, bo Thorn mógłby tego nie znieść.

– Idziemy – polecił Voidowi, po czym obaj opuścili bazę.

Kolejny beznadziejny dzień do kolekcji.

\*\*\*

Nim wrócili do hotelu, zatrzymali się w przydrożnym barze. Thorn był potwornie głodny, ostatnim, co dziś zjadł, było śniadanie, pochłonięty pracą często zapominał o regularnych posiłkach. Z Voidem nie mogło być inaczej, ale mimo to, ten jadł niewiele. Prawdopodobnie był do tego przyzwyczajony – zapewne żył w jakichś kanałach, żerując na resztkach i nieustannie ukrywając się przed światem, a przynajmniej tak Thorn chciał to sobie wyobrażać. Wersja alternatywna, gdzie Void egzystował w spokoju i dostatku na rachunek jakiegoś pierdolniętego bogacza, planując wraz z nim swoje kolejne zbrodnie, zbyt mocno działała detektywowi na nerwy. Nie rozumiał tej chorej fascynacji – choć można było się spierać, iż kiedyś sam jej uległ, aczkolwiek nie w takim stopniu – i wciąż nie potrafił pojąć, jak ktoś mógł przyczynić się do uwolnienia Voida.

– A więc mam naśladowcę – odezwał się w pewnym momencie mężczyzna, wyglądając przez okno, co sprawiało, że Thorn nie bardzo wiedział, czy te słowa były skierowane do niego, czy stanowiły głośne rozważania.

– Lub współnika – dodał mimo tego.

Void przeniósł na niego pełne niezrozumienia spojrzenie.

– Wciąż się przy tym upierasz, oficerze.

– Oczywiście. Mogłeś rozpocząć odliczanie raz jeszcze.

– Raz jeszcze?

– Dwadzieścia cztery ofiary. – Nie wierzył, że dla Voida nie było to oczywiste.

– Och, zgadzam się, że i on zamierza odliczać, sęk w tym, że o ile ja faktycznie zacząłem od dwudziestu czterech, on idzie w drugą stronę.

– Dwadzieścia cztery trupy – powtórzył stanowczo Thorn.

– Ja nie miałem tyłu przy swojej zbrodni, a jednak i tak została powiązana z tą liczbą. To kwestia symboliki.

– Nieistotne – uciął Thorn. – Wiadomo, do czego zmierza.

– Zaczął od zera – upierał się Void.

– I teraz przyszła kolej na dwadzieścia cztery.

Void uniósł brew, spoglądając na niego litościwie.

– Po zerze następuje jeden – zauważył.

– Może liczy od drugiej strony.

– „Od drugiej strony” jest minus jeden, a nie dwadzieścia cztery. Czy oficerowie nie muszą zdawać jakichś testów na inteligencję, nim dostaną się do służby? – zapytał uszczypliwie, a Thorn posłał mu mordercze spojrzenie. – To podstawy matematyki.

– Nieważne – mruknął Thorn, odrobinę rozdrażniony. – Mamy dwadzieścia cztery pierdolone trupy, a on wzoruje się na tobie. Prawdopodobnie. Jego przekaz wydaje się jasny.

– Mamy dwadzieścia cztery trupy, zabite w „Pierwszym Przyładku”, na pierwszym piętrze, wszystkie zmarłe od jednego strzału w głowę – podsumował Void i po chwili zastanowienia, Thorn doszedł do wniosku, że może mieć rację. – Ilość ofiar nie jest przypadkiem, niewątpliwie i to ma znaczenie, ale on dobiera symbolikę inaczej, ostentacyjnie i chaotycznie, brak mu subtelności.

– Jak już powiedziałem, to, jakim numerkiem postanowił reklamować swoją zbrodnię, jest na ten moment nieistotne – stwierdził Thorn. – Istotne jest to, kto za tym stoi. Powiązanie z tobą jest jedynym, co na ten moment mamy. Kto to jest, Void? – zapytał bezpośrednio, choć wiedział, że nie doczeka się szczerzej odpowiedzi. Jego rozmówca spojrzał na niego z umiarkowanym zaskoczeniem. – Twój podopieczny? Znajomy? Fan?

Na wargach Voida wymalował się nikły uśmiech.

– Nie jestem specjalnie towarzyską osobą, więc wykluczyłbym z tego grona i znajomych, i podopiecznych, ale oczywiście nie posłuchasz mojej sugestii. Fan to najbardziej prawdopodobne przypuszczenie, tym bardziej, że miałem już takich, którzy zdecydowali się zabijać.

– Nie takich – poprawił go Thorn.

– Co to niby znaczy?

– Twoi dotychczasowi „fani” dawali się złapać, często już po pierwszej zbrodni. Popełniali błędy, usiłując wzorować się na tobie, co nie wychodziło im na dobre – mruknął kąśliwie, ale zaraz całkowicie spoważniał. – On taki nie jest. Zabił dwadzieścia cztery osoby, w biały dzień. Wygląda na to, że nie zostawił po sobie żadnych śladów. Dopilnował wszystkiego, kamer, przelewu, potrafił nawet bez problemu zwabić swoje ofiary.

Void wzruszył ramionami.

– Ostentacyjny popis – skwitował pogardliwie. – Moim zdaniem jest beznadziejny.

– Według twoich kryteriów.

– Jeśli jest moim fanem, to jedyne, co się dla niego liczy – odparł wyniośle Void.

Thorn przewrócił oczami. Przeczynał, że ta rozmowa podąży w takim kierunku. To, że w czasach ich młodzieńczego romansu, nie dostrzegł, iż Void był bardziej zakochany w sobie niż w nim, nadal budziło w detektywie niedowierzanie.

Wrócili do hotelu.

– Przez całą noc zostaniesz w swoim pokoju – polecił Thorn, gdy zatrzymali się przed wynajętymi przez niego pomieszczeniami.

Void uniósł brew.

– Żadnych kajdanek? – rzucił ze złośliwym uśmiechem.

Thorn skrzywił się, nie kryjąc irytacji.

– Nie dziś, ani nie w najbliższym czasie, chyba że naprawdę dasz mi ku temu powód – obiecał. Podobne uwagi sprawiały, że najchętniej nie tylko by go skuł, ale i zakneblował, ale rozmowa z Richterem dała mu do myślenia. – Zobaczymy się rano.

– Detektywie?

– Słucham?

– Jest jeszcze coś, co wskazuje na to, że chodzi o jedynekę – stwierdził nieoczekiwanie Void.

Thorn posłał mu pytające spojrzenie.

Void uśmiechnął się nieznacznie, po czym przysunął się do mężczyzny i szepnął mu na ucho:

– Wszystkie ofiary to jedynacy. Sprawdź to.

Powiedziawszy te słowa, uklonił się oficerowi uprzejmie, po czym zamknął się w swoim pokoju. Thorn stał przez moment na korytarzu, zaszokowany tym stwierdzeniem, po czym poszedł do siebie. Ledwie otworzył okno i rozpiął koszulę, a natychmiast usiadł na parapecie i połączył się przez telefon z wydziałową siecią, by uzyskać dostęp do zebranych w sprawie dokumentów. Dobrą godzinę trwało, nim przekopał się przez tonę zbędnych informacji o ofiarach (nie znosił, gdy Służba Bezpieczeństwa zajmowała się dokumentacją – Cross był znacznie konkretniejszy i ujmował w raportach tylko to, co miało znaczenie dla sprawy), ale wreszcie się udało, a wtedy stało się dla niego jasne, iż Void miał rację.

Nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia, natychmiast wybrał numer do Crossa.

– Czego potrzebujesz? – Nie zdziwił się, że mężczyzna natychmiast się odezwał. Zastanawiał się, czy Cross w ogóle sypiał.

– Wiedziałeś, że wszystkie ofiary to jedynacy?

– Tak, zauważyłem to powiązanie – przyznał Cross, co nie stanowiło dla Thorna niespodzianki. Cross zauważał wszystko.

– Kiedy?

– Gdy zacząłem przeglądać raporty dotyczące ofiar, przed paroma godzinami.

– Powiedziałeś o tym komuś?

– Tak. Tobie, kilkanaście sekund temu – mruknął Cross.

Thorn westchnął z nutą irytacji.

– Wcześniej.

– Nie.

– Dobrej nocy, Cross.

Ledwie się rozłączył, a rozpoczął międzywydziałowe połączenie ze Służbą Bezpieczeństwa.

– Dolores Parlton – przedstawiła się administratorka. – Zadzwoń na wewnętrzny numer Służby Bezpieczeństwa, jak mogę ci pomóc?

– Leonard Thorn, wydział do spraw seryjnych zabójców. Chcę się skontaktować z Travisem Bannerem.

– Oficer Banner jest na spoczynku.

– To pilne. Połącz mnie.

Usłyszał kilkanaście sygnałów, nim Banner zechciał odebrać.

– Halo? – mruknął sennie.

– Tu Thorn. Wiedziałaś, że wszystkie ofiary to jedynacy?

– Co? – rzucił niepewnie mężczyzna.

– Ofiary z hotelu. Wiedziałaś?

– O czym?

– Że to jedynacy – powtórzył z rozdrażnieniem Thorn.

– Nie mam pojęcia, o czym mowa – przyznał bezradnie Banner i tego też detektyw się spodziewał.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Śpij dobrze – rzucił, nim zakończył połączenie i zaczął analizować dzisiejsze wydarzenia.

Void był z nim prawie przez cały czas, gdyby więc ktoś zwrócił im na to uwagę, powinni usłyszeć to obaj. Sam na sam został tylko z Kitem, a informatyk nie zajmował się analizowaniem raportów, a zatem nie istniało duże prawdopodobieństwo, by na to wpadł, a nawet jeśli, pewnie natychmiast podzieliliby się swoimi obserwacjami z Thornem, jak to miał w zwyczaju. Skąd Void o tym wiedział?

Oficer miał ochotę przejść do pomieszczenia obok i natychmiast o to zapytać, ale zaraz po tej myśli, w jego głowie zrodziło się wyobrażenie Voida, skarżącego się Richterowi na to, iż detektyw odbierał mu prawo do wspomnianego w zasadach odpoczynku, więc postanowił z tym poczekać.

Poszedł wziąć prysznic, a ledwie wyszedł z łazienki, stało się dla niego jasne, że mimo poczucia senności, nieprędko zmruży oko. Znał swój organizm. Znowu przysiadł na parapecie, wdychając chłodne, nocne powietrze i pozwalając, by jego umysł kusił go posmakami papierosów. Szybko jednak odegnał pokusę, koncentrując swoją uwagę na czymś innym.

Otworzył znajdującą się obok okna szafkę. Mieściło się tam wszystko, co dotyczyło Voida – wszelkie raporty, zeznania świadków, nagrania i poszlaki, jakie zebrano w jego sprawie. Podłączał karty pamięci do swojego telefonu, jedna po drugiej, na nowo przeżywając jego zbrodnie i usiłując skoncentrować się na najmniejszych detalach, desperacko szukając powiązania z tym, co działo się obecnie.



Wszystko to jednak zeszło na dalszy plan, gdy odtworzył pewne nagranie.

Część obrazu przyćmiewała plama krwi, znajdująca się na obiektywie kamery. Przed stołem leżały zmasakrowane ciała prezentera i prezenterki, a za blatem siedział niebieskowłosa mężczyzna w białej masce, z dłońmi pokrytymi czerwienią.

– *Szanowni Państwo, wracamy do naszego programu po krótkiej przerwie technicznej* – przemówił monotonnym głosem. – *Jeśli zastanawiacie się, gdzie podziali się wasi ulubieni reporterzy, przyjrzyjcie się uważnie. Są tutaj, choć w stanie, rzekłbym, wiecznej niedyspozycji.* – Thorn pamiętał, że gdy oglądał to po raz pierwszy, zaczął właśnie od tego momentu. – *Nazywam się Void i przez chwilę to ja będę waszym dziennikarzem. Zapewniam, że wszystko, co właśnie oglądacie, odbywa się naprawdę, to nie żart, ćwiczenia czy działanie efektów specjalnych. Jesteśmy wszak w relacji na żywo, czyż nie? Lubicie słuchać wiadomości, dwadzieścia cztery godziny na dobę, choć w tym nudnym mieście, nic się nie dzieje. Ja postanowiłem to zmienić. Dam wam dwadzieścia cztery zbrodnie, żebyście przez następne miesiące mieli co oglądać i o czym rozmawiać, bo na tym wam przecież zależy. Ta była pierwsza, choć zegar idzie wstecz. Gdy dotrę do jedyńki, nigdy o mnie nie zapomnicie. Dam wam powód do mówienia o mnie przez wieki.*

Wtedy mężczyzna ściągnął maskę, a dla wszystkich oglądających stało się jasne, iż nie służyła ona skrywaniu jego tożsamości, bowiem ta w ciągu sekundy stała się jasna. Thorn pamiętał uczucie paraliżu, ogarniające jego ciało, gdy z niedowierzaniem patrzył na rozciągającą się powoli w uśmiechu twarz Angela. A może wtedy, po raz pierwszy, patrzył na Voida? Nie był pewien.

To, co stało się później, stanowiło krwawą groteskę, szaleńczy teatr, który obserwowało na żywo tysiące widzów. Void śmiał się głośno, choć gdy zwracał się do widzów, robił to w ten sam, pozbawiony emocji sposób. Jego oczy zdradzały obłąd. Przez parę minut krążył wokół swoich ofiar, z dumą prezentując to, czego dokonał. Usiłował usadzić je na ich poprzednich miejscach. Rechotał szaleńczo, gdy trupy opadały bezwładnie na ziemię i prowokacyjnie przywoływał na miejsce służby porządkowe.

Niestety, gdy te dotarły do stacji, było już za późno.

Thorn wyłączył nagranie. Był zlany potem, jak gdyby dopiero co wybudził się z potwornego koszmaru. To było prawdziwe oblicze Voida – nie mógł o tym zapominać, a czasem zdawało się to zbyt proste. W tych momentach, gdy siedzieli naprzeciw siebie, jedząc posiłek, gdy jechali razem samochodem, gdy rozmawiali, mniej lub bardziej spokojnie, łatwo było nie pamiętać, że wszystko, co prezentował w takich momentach Void, stanowiło jego maskę. Prawdziwą twarz ukazał tylko wtedy – oblicze obłąkańca i bestii, zdolnej do największego okrucieństwa.

Nie zasługiwał na wolność, nie zasługiwał na tę przeklętą smycz, jedynym, co mu się należało, było wieloletnie więzienie, bez perspektyw szybszego wyjścia na wolność.

Sprawiedliwość Metrolitu nie była ślepa a kulawa.

I coraz trudniej było w nią wierzyć.

\*\*\*

Thorn zasnął około czwartej, a obudził się po jedenastej, co istotnie komplikowało jego zamiar pojawienia się na komendzie z samego rana. Ledwie upewnił się, że nie ma żadnych pilnych wiadomości, a zaczął szykować się w pośpiechu, mając nadzieję, iż nie ominęło go nic istotnego.

Zaraz po tym stresującym momencie, czekał go kolejny. Poszedł do pokoju Voida, ale nie zastał w nim mężczyzny. Nie istniały żadne słowa, jakie mogłyby opisać panikę Thorn'a. Otworzył program do śledzenia nadajnika, już zastanawiając się, czy w pierwszej kolejności dzwonić do Służby Bezpieczeństwa, Sępów czy może Harding, ale wtedy zobaczył, że Void wciąż znajduje się w budynku, co trochę go uspokoiło. Siłą się na opanowanie, zszedł do restauracji.

Void siedział przy jednym ze stolików, jedząc jajecznicę i popijając ją pomarańczowym sokiem. Nadejście oficera przyjął z całkowitym spokojem.

- Co ty tu robisz? – warknął Thorn, z wyczuwalnym napięciem w głosie.
- Jem śniadanie.
- Kazałem ci zostać w twoim pokoju.

– Owszem, kazałeś mi tam zostać przez noc – stwierdził Void, posyłając mu pobłażliwe spojrzenie. Thorn już otwierał usta, by zaprotestować, ale po chwili uświadomił sobie, że nie pamięta, co dokładnie powiedział. Istniała szansa, że niefortunnie się wyraził. – Noc minęła, a ja byłem głodny.

– To co zawsze, detektywie Thorn? – zagadnęła mężczyznę Rose, zatrzymując się przy stoliku.

– Tylko kawę – rzucił Thorn, odrobinę zdezorientowany, po czym usiadł naprzeciwko Voida.

Przez kilka minut siedzieli tak w zupełnej ciszy. Detektyw przyglądał się mężczyźnie z uwagą.

– Nie lubię naleśników, zwłaszcza słodkich. Generalnie nie lubię słodkich rzeczy – oznajmił w pewnym momencie Void, jak gdyby było to jakkolwiek istotne.

Rose przyniosła Thornowi zamówienie, a ten kiwnął jej niemrawo głową, nadal prezentując imponujący wręcz poziom rozkojarzenia.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał w końcu, przyglądając się mężczyźnie przenikliwie.

Void spojrział na niego ze zdziwieniem, ale zaraz na jego ustach wymalował się uśmiech.

– To było oczywiste. On próbuje się popisać. Przesadza z nagromadzeniem symboli.

– Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

– To nie mógł być przypadek. Wybrał jednaków i zwabił ich do hotelu.

Thorn nie odrywał od mężczyzny uważnego spojrzenia.

– To była dobrze zorganizowana zbrodnia – stwierdził w końcu, ciekaw reakcji Voida.

– Tania i ostentacyjna – mruknął pogardliwie tamten.

Thorn pił kawę. Void skończył śniadanie i zaczął stukać paznokciami w blat stołu, rozglądając się dookoła i robiąc całkiem sporo hałasu, choć chyba nieintencjonalnie. Zdawał się czynić to nieświadomie, pogrążony w myślach. Thorn przypomniał sobie, jak bardzo zależało mu kiedyś, by dowiedzieć się, co skrywał umysł Angela. Teraz obawiałby się odpowiedzi.

– Jesteś zdenerwowany? – zapytał podejrzliwie.

Void momentalnie przestał i przeniósł na niego zamglone spojrzenie.

– Nie.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś był. – Słowa oficera były świadomą prowokacją.

– Wygląda na to, że masz konkurenta.

Oczy Voida stały się klarowane i lodowate.

– Nie, nie mam.

– Więc kogo? Wspólnika? – podchwycił natychmiast detektyw.

Void prychnął pogardliwie, odwracając wzrok.

– Naśladowcę. Tylko tyle.

\*\*\*

Gdy Thorn pojawił się w bazie, w głównym pomieszczeniu natknął się na Cage'a i Creeda. Detektywi przerwali prowadzoną rozmowę, kiedy dostrzegli Voida – trudno było powiedzieć czy dlatego, że mówili o nim, czy jakiegokolwiek dyskusje w towarzystwie seryjnego zabójcy budziły dyskomfort. Thorn polecił Voidowi usiąść na jednym z krzeseł przy ścianie, a ten zrobił to, choć wcale nie musiał.

– Coś nowego? – zapytał Thorn, zatrzymując się przy swoich współpracownikach.

– Kit namierzył płatność – mruknął Cage, raz po raz zerkając z niechęcią w kierunku Voida.

– Słyszałem, do Renis i fikcyjnej tożsamości.

– Nie, nie. To znaczy, wszystko się zgadza, przelewu faktycznie dokonano z tego rachunku, ale Kit ustalił, jak znalazły się na nim środki – wytłumaczył Creed. – Pieniądze wypłynęły z fundacji „Pierwsze Marzenie”.

Thorn zaniemówił. Obejrzał się przez ramię, na Voida. Ten nie mógł słyszeć, o czym rozmawiają, a zatem nawet nie zdawał sobie sprawy, że detektyw uzyskał właśnie ostateczny dowód na potwierdzenie jego przypuszczeń.

– Czy to ta fundacja, która pomaga śmiertelnie chorym dzieciom? – dopytał po chwili Thorn.

– No – parsknął cicho Cage. – Ale jaja, co?

– Jadę tam.

– Hej, hej! – Creed zaśmiał się i chwycił Thornę za ramię, zatrzymując go. – Nie tak szybko, panie spóźnialski, Cage i ja już się tym zajęliśmy.

– I co?

– Wypierają się, czyli nic nowego pod słońcem – mruknął Cage, kręcąc głową w wyrazie dezaprobaty. – Wielkie mi organizacje charytatywne, najciemniej zawsze pod latarnią, nie? Od razu widać, że są umoczeni.

– Cage usiłuje powiedzieć, że przeprowadziliśmy rozmowę z prezesem, a on stwierdził, iż środki wypłynęły bez jego wiedzy – wytłumaczył z nutą rozbawienia Creed. – Ma dziś wydać oficjalne oświadczenie w tej sprawie. Co ciekawe, może mówić prawdę. Kit twierdzi, że fundacja ma śmiesznie słabe zabezpieczenia i sprawca nie miałby wielkich problemów z cyber-kradzieżą.

– Tia, akurat – rzucił Cage, wyraźnie nie dając temu wiary. – Niech ich wiarygodność pod względem trzymania kasy weryfikuje Służba Finansowa, my dobierzemy im się do dupy za wspomaganie seryjnych zabójców.

– Trzeba ich sprawdzić, ale prawdopodobnie nic nie znajdziemy – stwierdził Thorn, a Cage spojrzał na niego bez zrozumienia, najwyraźniej oczekując głosu poparcia. – To nie był zbieg okoliczności czy kwestia pójścia na łatwiznę. Zabójca celowo wybrał tę organizację.

– Dlaczego?

– Przez nazwę. Wzoruje się na Voidzie. Każda jego zbrodnia opiera się na jakiejś liczbie. Teraz to jedyńska.

– A nie dwadzieścia cztery? – zdumiał się Creed. – Przecież tyle było trupów.

– Zaczął od Obiektu Zero.

– Co?! – Cage wbił w niego pełne zdumienia spojrzenie. – Poważnie?! To na pewno ta sama osoba?!

– Nic nie jest na ten moment „na pewno” – oznajmił szczerze Thorn. – Co nie zmienia faktu, iż się do tego przyznał. Harding wyjaśni wam później – uciął. – Tak czy inaczej, on liczy od drugiej strony. Ofiary to jedyńcy, zostali zamordowani na pierwszym piętrze, zginęli od jednej kuli, a nazwy zarówno hotelu, jak i organizacji, jasno wskazują na to, co chciał pokazać zabójca.

– Zgadzam się.

Thorn aż podskoczył, słysząc monotony głos Crossa. Odwrócił głowę, by dostrzec, że analityk znajdował się dosłownie parę kroków od niego, ubrany w kurtkę i gotów do wyjścia. Sądząc po minach Cage'a i Creeda, oni także nie zauważyli jego przyjścia.

– Do jutra – oznajmił jeszcze Cross, po czym, jak gdyby nigdy nic, opuścił budynek.

Thorn powiódł za nim spojrzeniem, dostrzegając przez to, że Void przyglądał się analitykowi z zainteresowaniem.

– Cóż, jeśli pan dziwak tak twierdzi – mruknął kąśliwie Cage.

– Ej. – Creed szturchnął go w ramię.

– No co?

– Przestań być nieprzyjemny.

– Dlaczego jemu nie powiesz, żeby przestał być dziwny? – obruszył się Cage.

– Taka już jego natura – stwierdził Creed, wzruszając ramionami.

– Ta, ta. Ciekawe czy będziesz go tłumaczył tak samo, gdy w końcu nas wszystkich pozabija.

Creed parsknął niepohamowanym śmiechem.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby zabił ciebie, skoro jesteś dla niego takim dupkiem.

– Ej, ej! – Cage sprawiał wrażenie autentycznie oburzonego i trochę zaniepokojonego. – Nie życz mi takich rzeczy, sobie zresztą też nie. Umarłbyś beze mnie z rozpaczy – dodał dramatycznie.

Creed zaśmiał się głośno.

– Akurat!

– Jasne, że tak by było – przekomarzał się z nim Cage, uśmiechając lekko.

– Zacząłbym pracować z Thornem.

– Ta, z Thornem! Nie miałby do ciebie cierpliwości!

Fakt faktem, Thorn, w tym momencie, nie miał cierpliwości do żadnego z nich, więc postanowił ich zostawić, a sam przeszedł do gabinetu Kita. Ku swojemu zdumieniu, zastał tam też Harding, która nie wydawała się być w dobrym humorze.

– Co to niby znaczy, że nie możesz? – ofuknęła chłopaka.

– P-P-Próbowałem, naprawdę. – Kit wyglądał na zestresowanego jak diabli. – Sprawdziłem wszystkie połączenia, ale wiadomość przyszła w zaszyfrowanej formie. Nie jestem w stanie namierzyć nadawcy.

– Jak to nie jesteś w stanie? Przecież po to tu pracujesz, do licha!

– Przepraszam, naprawdę nie potrafię – stwierdził bezradnie dzieciak, wyglądając tak, jak gdyby miał się zaraz rozplakać. – Może ci z wydziału do spraw przestępczości wirtualnej...

– Nie po to cię tu mam, żeby zgłaszać się do nich! – warknęła kobieta.

– Hej, hej – rzucił uspokajająco Thorn i dopiero wtedy oboje zwrócili na niego uwagę. – Nie ma potrzeby do wszczynania awantur – stwierdził, posyłając Harding wymowne spojrzenie. Czasem potrafiła przesadzić, zwłaszcza w nerwach, a ostatnio miała do nich więcej powodów niż zwykle. – Kit się stara. Gdyby potrafił to zrobić, już mielibyśmy tego efekty.

– Może – mruknęła szorstko Harding. – A może potrzebujemy lepszego informatyka – dodała, nim opuściła pomieszczenie.

Kit zagryzł wargę.

– Młody. – Thorn oparł dłoń na jego ramieniu. – Nie przejmuj się, to tylko takie gadanie.

– Staralem się, naprawdę! Gdybym potrafił...

– Wiem – stwierdził łagodnie Thorn. Czuł wyrzuty sumienia, bo sam nie traktował go ostatnimi czasy najlepiej. Kit na to nie zasługiwał. – Jesteś właściwą osobą na właściwym miejscu, nie zapominaj o tym, nawet gdy dajemy ci się we znaki.

Kit uśmiechnął się nikle i kiwnął głową.

Thorn odwrócił się, by wyjść, ale zatrzymał się przy drzwiach.

– Cage powiedział mi, że namierzyłeś płatność. Dobra robota – stwierdził z uśmiechem.

Twarz chłopaka rozjaśniła się momentalnie.

– Dzięki, Thorn.

\*\*\*

Był późny wieczór, a oni siedzieli znów w tym samym, przydrożnym barze. Korzystając z okazji, że świat wyjątkowo nie walił mu się na głowę, Thorn zajął się dzisiaj wszelkimi formalnościami, włączając w to raport ze schwywania Voida, mimo poczucia, że w obecnych warunkach było to kompletnie pozbawione sensu. Zajął mu to wiele czasu, więc znów opuścił komendę śmiertelnie głodny.

Teraz siedział naprzeciwko Voida, jedząc pizzę i popijając ją niskoalkoholowym piwem, ciesząc się z tego momentu spokoju.

W pewnym momencie kelnerka przełączyła grający dotąd w tle program rozrywkowy na stację WMC. Większość osób w barze przerwała rozmowy i skierowała wzrok na ekran. Thorn nie chciał temu ulegać, ale gdy w telewizorze pojawił się Głos Metrolitu, w ciemnym studiu i przy akompaniamencie przesadnie dramatycznej muzyki i on nie mógł się powstrzymać, by tam nie spojrzeć.

*– Szanowni Państwo, po ponad dwóch latach istnienia tego programu, zarówno ja, jak i wy, jesteśmy przyzwyczajeni, że zbrodnia rządu Metrolitem. – Thorn przewrócił oczami. Nawet w świetle ostatnich wydarzeń, nie ująłby tego w taki sposób. Na pewno jednak „zbrodnia”, a raczej relacje ze zbrodni, rządziły kanałami informacyjnymi. – Pewne zbrodnie szokują jednak bardziej niż inne i dziś będziemy mówić o jednej z nich. Zapraszam na „Bez Pardonu”.*

Na ekranie zamigotało przez moment logo programu, a zaraz widok ze studia ukazał nie tylko Granta, ale i jego gościa. Thorn zdumiał się, widząc siedzącego naprzeciw Głosu Metrolitu Bannera. Już wiedział, o jakiej sprawie będą rozmawiać.

*– Moim dzisiejszym rozmówcą jest Travis Banner, zastępca głównodowodzącego Służby Bezpieczeństwa. Witam, oficerze Banner.*

*– Witam* – odpowiedział Banner, uśmiechając się nie do tej kamery, do której powinien, co Grant skwitował niezbyt subtelnym kasznięciem.

*– Spotykamy się tu dziś, by porozmawiać o potwornej zbrodni, jaka rozegrała się w hotelu „Pierwszy Przylądek”.*

Widok ze studia zamienił się na pokaz zdjęć – nie z miejsca zbrodni, bo tych Grant najwyraźniej jeszcze nie dorwał, ale hotelu. W tle słychać było głos dziennikarza:

*– Dwadzieścia cztery rodziny stawily się w „Pierwszym Przylądku”, po wygraniu w konkursie dwutygodniowego pobytu w ośrodku. Niestety, kilka dni po pojawieniu się*



*na miejscu, jeden członek każdej rodziny został przywołany do pokoju hotelowego, rzekomo przez obsługę. Każda z tych osób została zamordowana, postrzelona w głowę, w biały dzień, w miejscu, które powinno ochraniać swoich gości i w mieście, które powinno chronić swoich obywateli.*

Na ekranie znów zagościł widok ze studia.

– *Panie Banner, zakładam, że w trakcie pańskiej kariery widział pan wiele podobnych zbrodni?*

– *Cóż, nie powiedziałbym, że „podobnych”, ale tak.*

– *Czy wydział ma jakieś poszlaki co do sprawcy?*

– *Sprawą zajmuje się wydział kryminalny, my tylko pomagaliśmy w zabezpieczeniu dowodów* – wyjaśnił Banner, choć Grant dobrze zdawał sobie z tego sprawę. – *Nie wiem, jak dokładnie toczy się śledztwo, w tej sprawie należałoby się kontaktować z szefem wydziału.*

– *A czy pan, osobiście, ma jakieś podejrzenia?*

– *Podejrzenia?* – powtórzył niepewnie Banner.

– *Dwadzieścia cztery zbrodnie. To nie może być przypadek, wiedziałem o tym ja, odkąd tylko usłyszałem wieści i wiedzieli o tym nasi widzowie, gdy tylko podaliśmy do wiadomości pierwsze informacje. Dowiadujemy się, że seryjny zabójca, który obiecał nam dwadzieścia cztery zbrodnie, nie będzie sądzony, a na drugi dzień mamy taką liczbę trupów. Sprawa wydaje się oczywista.*

– *Może tak wyglądać, ale to nie sprawka Voida.*

– *Skąd ta pewność?*

– *Void nie został wypuszczony na wolność.*

– *Skąd ma pan takie informacje, oficerze?*

Banner zmieszał się wyraźnie.

– *Cóż... Gdyby tak było, już byśmy o tym wiedzieli.*

– *Doprawdy? Kiedy wypuszczono go po raz ostatni, skracając jego karę, nie wiedział o tym nikt, przynajmniej póki nie dokonał strasznego mordu. Ta sytuacja zdaje się więcej, niż tylko podobna.*

– *Rozumiem, ale tym razem to naprawdę nie był Void.*

– *Ponieważ?* – nalegał Grant.

Banner wahał się wyraźnie.

– *Oficerze Banner, czy nie sądzi pan, iż mieszkańcy Metrolitu zasługują, by znać prawdę?* – zapytał Grant. – *Jeśli zabójca przebywa w areszcie, nie ma żadnego powodu, by nas o tym nie poinformować i nie wyłączyć tej możliwości.*

– *Nie przebywa w areszcie, a pod nadzorem jednego z oficerów.*

– *Pod nadzorem?* – Grant uniósł brew, wyraźnie zaskoczony. – *To interesujące, proszę mówić dalej.*

– *Nie ma wiele do powiedzenia. W każdym razie, Void nie miał możliwości dokonania tej zbrodni, przebywał wtedy wraz z tym oficerem.*

– *O jakim oficerze mowa?*

Banner milczał.

– *Oficerze Banner, to wyjątkowo istotne pytanie. Z tego, co pan mówi, wynika, iż ten człowiek odpowiada za bezpieczeństwo wielu ludzi. Miasto zasługuje na to, by wiedzieć, komu została powierzona kontrola nad Voidem. Miejmy nadzieję, iż nie jest to jakiś początkujący oficer.*

– *Nie, to ktoś doświadczony.*

– *Proszę więc zdradzić jego nazwisko.*

– *Nie sądzę, żeby to był dobry...*

– *Oficerze Banner, czy zamierza pan wyjść z tego studia jako tchórz, jak wielu innych przed panem, zastaniając się dobrem służb czy jako człowiek odważny, widzący przede wszystkim dobro obywateli?*

– *To oficer Thorn* – przyznał po dłuższej chwili Banner, co zaszokowało Thorna.

– *Oficer Thorn? Ten oficer Thorn, który odpowiadał za śledztwo Voida oraz jego zatrzymanie?*

– *Tak.*

– *Czy to możliwe, że...*

Thorn nie słuchał dalej. Bywał w tym barze na tyle często, by być kojarzonym, nie tylko przez obsługę, ale i stałych bywalców. Teraz wyczuwał przeszywające go na wyłot spojrzenia i dostrzegał pełne napięcia, skierowane w jego stronę, twarze.

– *Chyba mamy problem* – pozwolił sobie zaobserwować Void, nie zdając się przejęty.

– Chodź – mruknął Thorn, podnosząc się z miejsca. – Pospiesz się.

Void budził ekstremalnie skrajne reakcje – w ciągu paru minut, ktoś mógł podbiec do niego po autograf albo wyciągnąć broń i „wymierzyć sprawiedliwość” w typowo uliczny sposób. Thorn nie chciał mieć do czynienia z żadną z tych sytuacji, zatem nie zamierzał pozwolić swojemu otoczeniu otrząsnąć się z zaskoczenia. Wyprowadził Voida na zewnątrz i natychmiast wsiedli do samochodu.

Droga powrotna nie była przyjemna. Thorn od razu skontaktował się z Richterem, który już wiedział, co zaszło. Ta informacja musiała wypłynąć prędzej czy później i obaj zdawali sobie z tego sprawę, ale „później” byłoby znacznie lepsze. Obecne warunki narażały życia – nie tylko życie Thorna, ale też Voida, a całkiem możliwe, że również postronnych osób, które gotowe były zdecydować się na jakiś idiotyczny krok, by zbliżyć się do Voida, nieważne z jakiego powodu.

Co za kurewski tydzień, nie było dnia, by coś się nie pierdoliło.

Wrócili do hotelu. Thorn kazał czekać Voidowi na korytarzu, sam miał do odbycia rozmowę z córką zarządcy, która nie należała do przyjemnych. Po chwili mało twórczej awantury uzyskał to, czego chciał, choć jego dalszy pobyt w tym miejscu stał pod znakiem zapytania. Na korytarz przyszedł ze składanym fotelem, który następnie wstawił do swojego pomieszczenia. Przywołał Voida. Ten przekroczył niepewnie próg, posyłając mu pytające spojrzenie.

– Co z moim pokojem?

– Nie masz swojego pokoju.

– Jak to?

– Zwyczajnie, zrezygnowałem z opłacania go – odparł Thorn, wzdychając nerwowo.

– Więc gdzie będę spał?

– Tutaj – wyjaśnił detektyw, wskazując na przyniesiony przez siebie mebel.

Void zmrużył oczy.

– Z tobą? – zapytał podejrzliwie.

– Ze mną w pokoju, tak.

– Masz sporo odwagi, oficerze. Nie każdy dobrowolnie zgodziłby się na mieszkanie z seryjnym zabójcą – pozwolił sobie zauważyć Void, nie zdając się mieć problemu ze zmianą lokacji.

– To nie miało nic wspólnego z dobrowolnością – oznajmił zgodnie z prawdą Thorn. – I to nie o swoje życie obawiam się teraz najbardziej – dodał, spoglądając na mężczyznę wymownie.

Na wargach Voida zagościł niepokojący uśmiech.

– Obawiasz się o moje życie, oficerze? Wzruszające.

Thorn zignorował te słowa. Void jeszcze tego nie rozumiał, ale wkrótce sytuacja mogła się diametralnie odwrócić.

Łowca mógł stać się ofiarą.

## Koniec darmowego fragmentu